

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

Karol szalony

**POWIEŚĆ HISTORYCZNA
W DWÓCH TOMACH**

TOM PIERWSZY

Do godności historyka, tego „króla przeszłości”, przywiązane są przeróżne przywileje. Najwspanialszym z nich jest ten, że przebiegając swoje państwo, potrzebuje dotknąć tylko piórem ruin i trupów, aby odbudować pałace i wskrzesić ludzi. Na głos jego, jak na głos Boga, rozproszone kości odnajdują się między sobą, żywe ciało je pokrywa, świetne stroje je ubierają i na tej olbrzymiej dolinie Jozafata, na którą trzy tysiące wieków prowadziło swoje dzieci, wybierać on może, według swego kaprysu, wołać po imieniu tych, którym życie przywrócić pragnie, a wezwani natychmiast podniosą głowami swymi grobowe kamienie, rozwiną całuny i odpowiedzą, jak Łazarz Chrystusowi: „Oto jestem, panie, czego chcesz ode mnie?...”

Prawda, że trzeba odwagi do zejścia w te głębie historii – potrzeba woli silnej, głosu potężnego do badania mar przeszłości, ręki pewnej i niedrzącej do spisywania wyrazów przez nie podyktowanych. Zmarli kryją czasem straszne tajemnice, które grabarz wraz z nimi w grobie zamyka. Włosy Dantego zbieleły od opowiadania Ugolina, a oczy zachowały spojrzenie tak smutne i lica blade tak śmiertelną, że gdy Wergiliusz znów go na powierzchnię ziemi wyprowadził – kobiety Florencji, odgadując skąd powrócił ten dziwny podróżny, pokazywały go synom swoim, mówiąc: „Widzicie tam oto tego człowieka, który idzie smutny i poważny? – On do piekieł zstępował!...”

Do nas to przede wszystkim – nie biorąc w rachunek geniuszów – stosuje się to dantejskie i wergiliuszowe porównanie. Brama do królewskich podziemi w Saint-Denis, która przed nami ma się otworzyć, ma pewne podobieństwo z wrotami piekielnymi. Jeden i ten sam napis obu im służyć może i gdybyśmy mieli Wergiliusza i Dantego za przewodników, niedługo potrzebowalibyśmy szukać pośród dynastii królewskich, które zaludniają grobowce starego opactwa, aby znaleźć kilku zbójców i kilka ofiar, których nieszczęście godne jest litości. W olbrzymiej tej kostnicy jest prosty grobowiec z czarnego marmuru, na którym położone są obok siebie dwie figury kamienne. Jedna wyobraża mężczyznę, druga kobietę. Minęły cztery wieki, odkąd spoczywają tak jedna obok drugiej, z rękoma złożonymi do modlitwy. Mężczyzna prosi o wyjawienie przyczyny bożego gniewu, kobieta błaga o przebaczenie za swoją zdradę. To szaleniec i wiarołomna. Przez lat dwadzieścia szła jego i jej miłości krwią broczyły Francję i nie bez wielkiej racji, ręka, która dokoła ich grobowca wyryła napis: „Tu leży król Karol <ukochany>, VI tego imienia i królowa Izabella Bawarska jego żona”, dodała pod spodem: „Módlcie się za nich!”

W Saint-Denis tedy, skoro tu już jesteśmy, otworzymy tajemne archiwa tego dziwnego panowania. Obok kilku stron białych, spotkamy wiele innych krwią splamionych i wiele stron czarnej żałoby.

Bóg chciał, aby wszystko tu na ziemi nosiło te trzy barwy, uczynił bowiem z nich tarczę herbową człowieka, dając na niej dewizę: „*niewinność, namiętność i śmierć.*” A teraz otworzymy księgę – jak Bóg otwiera życie – na białych stronach. I tak dość szybko dojdziemy do stron krwi i żałoby!...

I

W niedzielę dnia 20 sierpnia 1389 r.¹ od samego brzasku drogę z Saint-Denis do Paryża zalegały tłumy ludu. Izabella, córka księcia Stefana bawarskiego, a żona Karola VI, miała, jako królowa Francji, odbyć pierwszy wjazd do stolicy swego państwa. Dla usprawiedliwienia wielkiej ciekawości tłumów wyznać trzeba, że cuda o tej księżniczce opowiadano. Wiedziano już, że od pierwszego z nią spotkania król gwałtowną zapłonął miłością i że zaledwie do poniedziałku pozostawił czas na przygotowania do uroczystych zaślubin.

Poza obrębem Paryża zebrало się takie narodu mnóstwo, że aż patrzyć było miło i zdawało się, jakby wszyscy stawili się tam na rozkaz. Wielki gościniec pokryty był gęsto ciekawymi obojga płci i wydawał się nieprzejrzanym łańcem głów ludzkich. Porównanie to tym stosowniejsze, iż za każdym drobnym wydarzeniem masy pochylały się w jedną lub drugą stronę, jak kłosa na polu za powiewem wiatru.

O godzinie jedenastej na czele tłumu dały się słyszeć głośnie okrzyki; wstrząśnienie, które przebiegło wzdłuż drogi, uwiadomiło niecierpliwych, że coś się stało. To królowa Joanna i księżna Orleanu, jej córka, pojawiły się poprzedzone przez straż torującą im drogę między ludem. Za nimi postępowali w dwóch rzędach znaczniejsi mieszczanie Paryża, w liczbie tysiąca dwustu. Wybrani do tej straży honorowej mieli na sobie długie szaty jedwabne koloru zielonego ze złotym, na głowach czapeczki ozdobione wstęgami, których końce spadały jeźdźcom na ramiona i powiewały jak szarfy przy każdym powiewie wiatru odświeżającego duszną atmosferę, tym cięższą, iż wszędzie, spod stóp ludzi i kopyt koni, unosiły się dokuczliwe tumany wysuszonego piasku. Wyparty z gościńca lud rozsypał się na polach, po obu stronach drogi, którą jak szerokim korytem płynął pochód królewski. Porządek zaprowadzono z większą łatwością aniżeli się to zdawać mogło, gdyż w owe czasy lud tyle miał miłości i tyle szacunku dla swego króla, ile ciekawości, i jeżeli zdarzało się, że majestat królewski zstępował do ludu, nikomu na myśl nie przychodziło podnosić się i przedzierać ku niemu. Każdy, ustępując swego miejsca pochodowi królewskiemu, czynił to chętnie i bez oporu; w naszych czasach nie obeszłoby się bez krzyków, żandar-mów i złorzeczeń.

Ponieważ poziom pola niższy był od poziomu gościńca, każdy starał się dobiec jak najprędzej do jakiegokolwiek wzniesienia, z którego widok na drogę był dogodniejszy. Wierzchołki drzew i dachy stojących w bliskości domów zostały zajęte przez ciekawych. Ci, którym brakło odwagi do tak niebezpiecznych gimnastycznych wysiłków, ustawili się szeregiem na skraju drogi, tworząc jakby żywy płot. Kobiety wspinały się na palce, dzieci wdrapywały się na ramiona ojców, każdy szukał miejsca mniej lub więcej wygodnego; jedni starali się ponad głowami swych poprzedników spojrzeć na drogę, inni szukali jakiegokolwiek szczeliny w tym żywym murze, aby chociaż rzucić okiem na dziwy przesuwające się gościńcem.

Zaledwie zamieszanie spowodowane przejściem królowej Joanny i księżnej Orleanu, udających się do pałacu, uspokoiło się, gdy spostrzeżono tak niecierpliwie oczekiwaną lektykę młodej królowej, liczącej zaledwie lat dziewiętnaście, na której spoczywała połowa nadziei całej monarchii. Pierwsze wrażenie, jakie lud odniósł spojrzawszy na swoją panią, nie potwierdziło wysokiej opinii, która ją poprzedziła w stolicy; była to bowiem piękność, z którą oswoić się wpierv trzeba było. Główną tego przyczynę stanowił silny kontrast jasnych, złotych włosów i brwi czarnych jak heban. Dwa charakterystyczne, a przeciwne sobie typy rasy północnej i południowej zmieszane w tej kobiecie, nadały sercu jej gorącą namiętność właściwą Włoszkom, a czołu znamię pogardliwej wyniosłości, cechujące księżniczki niemieckie². Zaś kształtów bardziej harmonijnych żaden rzeźbiarz nie mógł nawet zapragnąć do posągu Diany wychodzącej z kąpeli. Twarz jej miała doskonały owal, taki sam, jak w dwa stulecia później Rafael swoim imieniem uwiecznił. Obcisłe suknie i rękawy nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do zgrabnych kształtów tej figury i ślicznie wymodelowanych ramion; ręka zaś, którą więcej może przez kokieterię, niż przez niedbalstwo pozostawiła opuszczona przez jedną z portier lektyki, rysowała się na materii obicia jak alabastrowa płaskorzeźba na złotym tle. Część postaci ukryta była w głębi lektyki, jednak nietrudno od-

¹ Datę tę podaje Froissart. W rejestrach parlamentu zapisano 22. Najwięcej szczegółów do opisu tego wjazdu autor zaczerpnął z *Mnicha z Saint-Denis* Froissarta i z *Juvénała des Ursins*.

² Królowa Izabella była, jak wiadomo, córką bawarskiego księcia Stefana Ingolstadzkiego i księżniczki Tadei Mediolańskiej.

gadnąć po wdziękach i zaletach widzianych, że reszta musiała być równie delikatna i powiewna, i że podtrzymywały ją czarodziejskie nóżki i stopy dziecięce. Szczególne uczucie, doznawane na jej widok, znikало prawie natychmiast przy spotkaniu z łagodnym i gorącym zarazem spojrzeniem jej oczu, przypominającym tę potęgę wszechwładną, z której Milton, a za nim i inni poeci, uczynili charakterystyczną i fatalną piękność swych aniołów upadłych.

Lektykę królowej otaczało sześciu najpierwszych dygnitarzy Francji. Na czele ich szli: książę de Touraine i książę de Bourbon. Pod nazwiskiem księcia de Touraine, dla uniknięcia omyłki, czytelnicy nasi rozumieć zechcą młodszego brata króla Karola, młodego i pięknego księcia Ludwika Walezjusza, który, nie więcej jak cztery lata później, otrzymał tytuł księcia Orleanu i stał się słynny z rozumu, miłostek i nieszczęść. Rok przedtem ożenił się był z córką Galeasa Visconti, głośną w historii i poezji pięknoscią, znaną pod imieniem Walentyny Mediolańskiej, której wdzięki nie zdołały jednak zatrzymać i usidlić tego królewskiego motyla o złotych skrzydłach. Przyznać jednak należy, że był to najpiękniejszy, najbogatszy i najwykwintniejszy pan z całego dworu. Znać po nim było, że świat cały uśmiecha się doń z radością i młodością, że życie otrzymał w darze aby używać, i że też żył ochoczo; że nieszczęścia mogły go spotykać, ale że on kroku na ich spotkanie nie uczynił, że ta prześliczna główka pazia o blond włosach i niebieskich oczach nie była stworzona do przechowywania głębokiej tajemnicy lub smutnej myśli i że tak jedna, jak druga, umykać musiały przez te usta różowe i nierozważne, jak usta kobiety. Dnia tego ustroił się w przepyszny kostium, który umyślnie zrobić sobie kazał i który nosił z gracją sobie tylko właściwą. Była to suknia z aksamitu czarnego, podbita złotogłowiem. Rękawy haftowane były szeroko, w deseń przedstawiający wielką gałąź róży. Złoty pień otoczony był z obu stron liśćmi szmaragdowymi, spośród których na każdym ramieniu wykwiłało jedenaście przepysznych róż z rubinów i szafirów. Dziurki od guzików, przypominających jeden z dawnych orderów ustanowionych przez królów Francji, pokryte były pysznym i kosztownym haftem w złote strączki naszywane perłami. Jedna z pół sukni, ta mianowicie, która spadała na kolano od strony przeciwnej lektyce, bramowana była bogato złotem i ozdobiona słońcem w wianku promieni, który to symbol obrał sobie król Karol za dewizę, a którą później wznowił Ludwik XIV; druga poła, na której królowa kilkakrotnie wzrok zatrzymywała, pokryta była również haftem wyobrażającym jakiś emblemat tajemniczy, którego znaczenie Izabella na próżno odgadnąć się starała. Haft ten wyobrażał lwa srebrnego, zakutego w łańcuchy, z kagańcem na paszczy. Ręka ukryta w obłokach trzymała końce łańcuchów. Jako dewiza, otaczały tę rękę wyrazy: „*Gdzie zechce*”. Bogaty ten kostium uzupełniony był aksamitną czapczką ze złotem, której fałdy przeplatał przepyszny łańcuch z pereł; końce łańcucha spadały razem ze wstęgami tworząc kokardę, którą się książę bawił rozmawiając z królową i poprawiając od czasu do czasu włosy jedną ręką, gdy druga zręcznie kierowała koniem.

Jadący obok książę de Berri dzielił z księciem Burgundii regencję Francji w czas szaleństwa króla Karola, a przez swoje skąpstwo przyczynił się do ruiny królestwa o tyle przynajmniej, o ile książę Orleanu przez swą rozrzutność.

Za królową, na koniu bardzo bogato przybranym, krokiem wolnym postępowała księżna de Berri, prowadzona przez hrabiów de Nevers i de la Marche. Tu znowu jedno z dwóch tych wielkich nazwisk zaćmi drugie; bowiem hrabia de Nevers, syn Filipa i przodek Karola, zostanie wkrótce księciem Burgundii. Ojciec jego zwał się Śmiały, wnuk nosić będzie przydomek Zuchwały, a jemu samemu historia nada imię Nieustraszonego.

Hrabia de Nevers, ożeniony dnia 12 kwietnia 1385 roku z Małgorzatą de Hainau, miał w owej chwili lat dwadzieścia, a najwyżej dwadzieścia dwa. Nie bardzo wysokiego wzrostu, był jednak barczysty, silny i doskonale zbudowany. Oko jego, jakkolwiek małe i koloru jasnoniebieskiego, jak oko wilka, miało spojrzenie pewne i gorące. Włosy, długie i przygładzone, były czarne z odcieniem prawie fioletowym, o jakim wyobrażenie dać tylko może kolor kruczyczych skrzydeł. Broda ogolona dozwalała zarysować się wszystkim konturom twarzy świeżej i rumianej, nacechowanej siłą i zdrowiem. Po niedbałym sposobie trzymania cugli konie znać było zręczność jeźdźca. Jakkolwiek młody i dotąd jeszcze nie pasowany na rycerza, umiał już dźwigać rycerską zbroję, gdyż nie zaniedbywał żadnej sposobności zahartowania się na trudy i niewygodny. Surowy dla siebie i dla drugich, nieczuły na głód i pragnienie, na chłody i upały, miał opinię człowieka kamiennego, na którego powszednie troski życia nie wywierały wpływu. Wyniosły wobec wyższych, uprzejmy dla maluczkich, bezustannie zasiewał nienawiść dla siebie między równymi sobie, a zyskiwał miłość u podwładnych. Dostępny dla wszelkich gwałtownych namiętności, umiał zamykać je w głębi swej piersi, a pierś swoją zakładał w pancerz. To sklepienie ze stali i ciała

pokrywało przepaść, w którą żadne ludzkie oko zajrzeć nie mogło. Był to wulkan pozornie tylko uśpiony: trawił swe własne wnętrze aż do chwili, w której uważał za stosowne wybuchnąć, a wtedy lava występowała z granic i biada temu, kogo spotkał potok jego gniewu!... W dniu tym, prawdopodobnie dla kontrastu z księciem Ludwikiem de Touraine, kostium Jana de Nevers był przesadnej może skromności. Była to suknia krótsza, aniżeli zwykle noszono, z aksamitu fioletowego, z podwójnymi rękawami, jednymi obcisłymi, drugimi szerokimi, bez ozdób i haftów; na biodrach zwieszał się opięty pas z siatki stalowej, na którym wisiał miecz z rękojeścią pięknie cyzelowaną. Wycięcie utworzone na piersiach przez klapy sukni, ukazywało żupan jasnoniebieskiego koloru, ujęty przy szyi w obojczyk z czystego złota, który zastępował kołnierzyk. Czapeczkę miał czarną, aksamitną, a fałdy jej spinał jeden tylko brylant, ale był to ten sam kamień, który pod nazwą *Sancy*³ przeszedł potem na własność korony francuskiej.

Troskliwiej i obszerniej niż innych, opisaliśmy tych dwóch młodych i szlachetnych panów, których odtąd ciągle spotykać będziemy, jednego po prawicy, drugiego po lewicy króla. Są to bowiem, obok smutnej i poetycznej postaci Karola i gorącej a namiętnej Izabelli, osobistości najwybitniejsze z epoki naszego nieszczęsnego panowania.

Dla nich Francja rozdarła się na dwoje i dla nich dwa w jej łonie znalazły się serca; jedno bijące na głos Orleanów, drugie na głos Burgundii; każde stronnictwo, dzieląc nienawiści i sympatie swego przewodnika i pana, zapomniało o wszystkim i o wszystkich, nawet o królu, który powinien być najwyższym wszystkich panem, nawet o Francji, która była ich matką!...

Skrajem drogi, nie trzymając się szeregu, jechała na białym koniu księżna Walentyna, którą przedstawiliśmy już wyżej czytelnikom jako żonę księcia de Touraine. Pierwszy to raz opuściła ona piękną swoją ojczyznę – Lombardię, i po raz pierwszy przybyła do Francji, gdzie wszystko się jej zdawało nowym i bogatym. Po prawej jej stronie znajdował się pan Piotr de Craon, najukochańszy ulubieniec księcia de Touraine, ustrojony w kostium, który mu w dowód przyjaźni i sympatii książę na podobieństwo swego sporządzić kazał. Był on prawie w równym wieku z księciem; piękny jak on, i zarówno z nim dzielący spokój bez troski i radość żywota. Jednakże kto by się bliżej przypatrzył chciał temu człowiekowi – łatwo dojrzeć mógł, że wszystkie namiętności gwałtownego serca pały w głębi jego ciemnego oka, że przebijała żeń ta żelazna wola, która zawsze osiąga zamierzone cele w miłości czy nienawiści, że wreszcie jego przyjaźń niewiele mogła być pożyteczna, ale za to nieprzyjaźń groźna i niebezpieczna. Po lewej stronie księżnej jechał w żelaznej zbroi z taką swobodą, jak inni panowie w swych aksamitach, pan Olivier de Clisson, wielki hetman Francji. Podniesiona przyłbica odsłaniała twarz otwartą i prawą, twarz starego żołnierza, a blizna, która przedzielała mu czoło, krwawe wspomnienie bitwy pod Auray, dowodziła, że liliami ozdobiony miecz, wiszący u jego boku, nie służył nigdy podstępowi lub prywatnym względom, lecz dla dobra ojczyzny. I rzeczywiście, Clisson, urodzony w Bretanii, wychowany był w Anglii, ale w osiemnastym roku życia wrócił do Francji i od tej chwili przy każdej sposobności gorąco i mężnie walczył w szeregach królewskich.

Tyle powiedziawszy o ważniejszych, ograniczymy się do krótkich i pobieżnych wzmianek o innych osobach, biorących udział w tym uroczystym pochodzie.

Były więc tam: księżna Burgundii i hrabina de Nevers, prowadzone przez Henryka z Baru i hrabiego de Namur... Dalej księżna Orleanu na rumaku pięknie i bogato strojnym, prowadzonym przez Jacka de Bourbon i Filipa d'Artois; dalej jeszcze księżna Baru z córką, w towarzystwie Karola d'Albert i Ecuerrarda de Coucy, którego imię samo przywołuje już na pamięć niejednego z wielkich jego czynów, a który nosił najskromniejszą, a może też najdumniejszą dewizę swego czasu: „Nie jestem królem ani księciem... jestem panem de Coucy!” (*Ne suis prince, in duc aussy, je suis le seigneur de Coucy*).

O innych panach, damach i pannach, które tam były na koniach, w wozach strojnych i lektykach – nie chcemy już wspominać. Wystarczy dodać, że gdy czoło pochodu, gdzie znajdowała się królowa, dotykało już przedmieść stolicy – szereg paziów i koniuszych, którzy pochód zamykali, nie wyszedł jeszcze z głównej ulicy Saint-Denis. Przez całą długość drogi witały królową okrzyki: „Noël!”, które w owym czasie występowały w miejsce późniejszego: „Niech żyje król!” Naród w tej epoce wiary nie mógł znaleźć wyrazu, który by lepiej streszczał radość, jak ów, przypominający narodziny Chrystusa. Nie

³ Brylant ten, który od czasu bitwy pod Granson znajdował się w skarbcu Karola Zuchwałego, wpadł w ręce Szwajcarów, sprzedany był w 1492 r. w Lucernie za cenę 5000 dukatów i przeszedł do Portugalii na własność don Antonia, opata Cratońskiego. Ten ostatni potomek linii Braganckiej, która utraciła tron, przybył do Paryża i tu umarł. Wtedy brylant ów nabył Mikołaj de Harlay, pan de Sancy; stąd jego nazwa. Według ostatniej oceny inwentarza klejnotów koronnych *Sancy*, jeśli się nie mylimy, wart jest 1 820 000 franków.

potrzebujemy zapewne dodawać, że spojrzenia wszystkich mężczyzn dzieliły się pomiędzy Izabellę Bawarską i Walentynę Mediolańską, tak jak spojrzenia kobiet dostawały się w równej części księciu de Touraine i hrabiemu de Nevers.

Przybywszy do bramy Saint-Denis, królowa zatrzymała się; tam bowiem przygotowano dla niej pierwszą stację. Ustawiono tu rodzaj ołtarza, okrytego niebieskim ałtarem z baldachimem w złociste gwiazdy. W chmurach, ponad gwiazdami, dzieci poprzebierane za aniołki śpiewały melodyjne pieśni około pięknej i młodej dziewczynki, wyobrażającej Matkę Boską trzymającą na kolanach małe dzieciątko, które bawiło się młynkiem zrobionym z wielkiego orzecha. Szczyt baldachimu zdobiły splecione herby Francji i Bawarii, oświetlone jarzącym słońcem – znakiem króla Karola. Królowa zachwycona była widokiem i chwaliła wielce sam pomysł, a gdy już dzieci śpiewy swe skończyły i gdy zmiarkowano, że królowa dosyć się już wszystkim napatrzyła, otworzyła się tylna ściana ołtarza, ukazując całą wielką ulicę Saint-Denis uformowaną na kształt olbrzymiego namiotu: wszystkie domy ozdobiono draperią z sukna i jedwabiu, jak gdyby – mówi Froissart – sukno rozdawane było darmo, lub jak gdyby rzecz się działa w Paryżu, lecz w Aleksandrii lub Damaszku.

Królowa wstrzymała się jeszcze chwilę. Można by sądzić, że zawahała się wstępując do tej stolicy, która oczekiwała na nią z taką niecierpliwością i witała ją z miłością i zapalem. A może też przeczcucie mówiło tej, królowej młodej i pięknej, wprowadzanej z taką pompą i wystawą, że kiedyś zwłoki jej wyniesione zostaną z tego samego miasta na ramionach jednego tylko wyrobnika, któremu odźwierny pałacu świętego Pawła polecił oddać szczątki Izabelli Bawarskiej zakonnikiem w Saint-Denis.

Wkrótce atoli puściła się w drogę; zauważono jednak, że zbladła, wstępując w tę długą, wielką ulicę, rozdzielając tłum na dwa żywe mury, które potrzebowały tylko zbliżyć się do siebie, aby zgnieść swoją królową, jej lektykę i konie. Lecz żaden wypadek się nie wydarzył. Mieszczanie tworzący swięte utrzymywali szeregi w porządku i wkrótce zbliżono się do przepysznej fontanny pokrytej błękitnym suknem bramowanym w złote lilie. Dokoła fontanny ustawiono malowane i rzeźbione kolumny, na których pozawieszano tarcze herbowe najpierwszych domów Francji. Zamiast wody fontanna wyrzucała strumienie hypokrasu⁴ zaprawionego korzeniami i wonnościami arabskimi. Dokoła kolumn stały młode i piękne dziewice trzymające w ręku srebrne dzbany i złote czasze, częstujące królową oraz panów i panie jej orszaku. Królowa wzięła jedną z podanych czasz, umoczyła w niej usta dla formy i chciała natychmiast zwrócić ją jednej z usługowych Heb, ale książę de Touraine pochwycił czaszę szybko z rąk dziewczynicy i przytknął ją do ust w tym samym miejscu, którego usta królowej dotknęły, a potem duszkiem wychylił napój do dna. Rumieńce, które na chwilę ustąpiły z policzków Izabelli, ukazały się nagle znowu, gdyż postępek księcia był zbyt wymowny, a chociaż czasu nie zajął wiele, zwrócił ogólną uwagę tak dalece, że różnie mówiono o nim wieczorem u dworu, a ludzie najsprzecznějších opinii zgadzali się, iż książę okazał wielką zuchwałość, pozwalając sobie na taką swobodę wobec małżonki swego pana i władcy, a królowa dała dowód wielkiej pobłażliwości, nie karząc go inaczej, jak tylko wstydliwym rumieńcem.

Zresztą nowy widok odwrócił wkrótce uwagę od tej sceny i na chwilę podał ją w niepamięć. Orszak przybył przed klasztor trynitarzy. Przed bramą klasztoru wznosiło się rusztowanie w rodzaju *teatrum*, na którym przedstawiony został pochód wojenny króla Sallach-Edina. Chrześcijanie byli ustawieni z jednej, Saraceni zaś z drugiej strony, a w obu szeregach rozpoznawano z łatwością osoby, które w tym sławnym turnieju udział wzięły. Aktorzy przebrani byli w stroje z trzynastego wieku i nosili tarcze herbowe oraz godła osób, których rolę odgrywali. W głębi siedział król Francji, Filip August, a około niego stało dwunastu parów jego państwa. W chwili, gdy lektyka królowej zatrzymała się przed rusztowaniem, król Ryszard Lwie Serce wystąpił z szeregów, zbliżył się do króla Francji, przykląkł na jedno kolano i prosił o pozwolenie wyruszenia na bój z Saracenami. Gdy Filip August łaskawie pozwolenia udzielił, natychmiast Ryszard podniósł się i wróciwszy do swoich towarzyszy, ustawił ich w szyku bojowym i natarł na niewiernych. Rozpoczęła się walka, której rezultatem było wielkie zwycięstwo nad Saracenami i ich rozproszenie. Część uciekających zbiegła przez okna klasztoru, które były na równym poziomie z teatrem i które umyślnie w tym celu pozostawiono otworem. Nie zmniejszyło to jednak liczby jeńców, których król Ryszard przyprowadził przed królową. Izabella prosiła o wolność dla nich, a w okupie zdjęła z ramienia bransoletkę złotą i dała ją zwycięzcy.

⁴ Mieszanka wina, cukru i cynamonu.

– O! – zawołał książę de Touraine, opierając się o lektykę – gdybym wiedział, że taka nagroda spotka aktora, ja – i nikt inny – grałbym Ryszarda.

Królowa rzuciła przelotne spojrzenie na drugą bransoletkę zdobiącą jej ramię, lecz wstrzymując ten pierwszy ruch zdradzający jej myśli, rzekła:

– Jesteś książę szalony i działasz bez zastanowienia. Podobne zabawy dobre są dla skoczków lub tancerzy, lecz nie przystoją królewskiemu bratu.

Książę de Touraine już miał odpowiedzieć, gdy Izabella dała znak by ruszać i odwróciwszy się ku księciu de Bourbon, wszczęła z nim rozmowę, nie zwracając już uwagi na swego szwagra, aż do chwili, gdy przybyli przed drugą bramą Saint-Denis, nazywaną bramą malarzy, która zniszczona została za czasów Franciszka I. Tu znowu ustawiony był przepyszny zamek, a nad nim rozpostarte niebo gwiazdziste, na którym w całej potęgze swej ukazywał się Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty. Dokoła tej Trójcy chór dzieci zawodził pieśni: *Gloria* i *Veni Creator*. W chwili, gdy królowa przechodziła, wrota raj otwarły się i ukazały się dwa anioły w aureolach, ubrane w różowe i niebieskie suknie bogato haftowane. Trzymały one bardzo kosztowną koronę ze złota i drogich kamieni, którą włożyły na głowę królowej, a odśpiewawszy odpowiedni czterowersz, wróciły za bramę, która się za nimi zamknęła.

Tymczasem z drugiej strony bramy nowe osobliwości oczekiwały królową. Posłowie sześciu korporacji kupców przychodzili domagać się dawnego przywileju towarzyszenia królom i królowym Francji przy ich wjazdach do Paryża od bramy Saint-Denis aż do samego pałacu. Za nimi szli przedstawiciele różnych rzemiosł, przebrani w stroje charakterystyczne i przedstawiające siedem cnót chrześcijańskich. Obok nich utworzona była grupa wyobrażająca: Śmierć, Czyściec, Piekło i Raj. Jakkolwiek uprzedzona, królowa okazała pewną niechęć do oddania się w ręce tym maszkarom. Książę de Touraine ze swej strony mocno był rozgniewany widząc, że musi opuścić miejsce zajmowane dotąd przy lektyce królowej, ale przywilej ludu był nienaruszalny. Książę de Bourbon i inni panowie już opuścili lektykę, ustępując na bok. Izabella zwróciła się do swego szwagra, który uparcie trzymał się drzwiczek, i rzekła:

– Mości książę, kiedyż ustąpicie miejsca tym dobrym ludziom?... A może czekacie mego zezwolenia na to?

– Tak, pani – odpowiedział książę – czekam rozkazu twego, a bardziej jeszcze spojrzenia, które by mi dało moc usłuchania twej woli.

– Panie szwagrze – rzekła Izabella, pochylając się ku niemu – nie wiem, czy podczas wieczornego festynu zobaczymy się jeszcze, ale nie zapominaj, że jutro będę nie tylko królową Francji, ale i królową turnieju, a moja bransoletka będzie nagrodą zwycięzcy.

Książę pochylił czoło aż do drzwiczek lektyki królowej. Ci, którzy już się oddalili z miejsca tej sceny, nie widzieli w tym ukłonie nic innego, jak tylko oznakę szacunku, który każdy poddany winien był królowej, ale bliżej stojącym i lepiej patrzącym wydawało się, że usta księcia dłużej i goręcej zatrzymały się na dłoni królowej, aniżeli na to przepisy etykiety pozwalały.

Jakkolwiek było, to tylko pewne, że książę podniósł się w strzemiączkach, ukazując twarz promieniącą radością i szczęściem. Izabella tymczasem zasłoniła się koronką spadającą z wysokiego czepca, a książę dał koniowi ostrogę i popędził zająć miejsce obok swej żony.

Tymczasem deputowani sześciu korporacji kupieckich umieścili się przy lektyce królewskiej, po trzech z każdej strony, podtrzymując baldachim nad głową królowej. Cnoty chrześcijańskie i grzechy główne zajęły miejsce za nimi, a na końcu szły z odpowiednią powagą: Śmierć, Czyściec, Piekło i Raj. Pochód ruszył dalej, ale dziwny wypadek niespodziewanie naruszył jego porządek. Przy zbiegu ulic des Lombards i Saint-Denis, dwóch ludzi, siedzących na jednym koniu dało powód do wielkiego hałasu. Tłum był tak wielki, że cudem chyba się tu wcisnęli, lecz zdawali się nader mało troszczyć o potrąconych i mało zważać na ich złorzeczenia. Zuchwałość ich dochodziła nawet do tego, że nie słuchali miejskich strażników i z obojętnością znosili razy, którymi usiłowano spędzić ich z drogi. Pomimo wszystkich przeszkód postępowali naprzód, oddając z nawiązką odbierane razy i piersią konia rozdzielając tłumy; jak okręt dziobem swym pruje fale morza, tak oni torowali sobie wśród ludzkich fal drogę powolną, lecz ciągłą, zwierającą się natychmiast znowu po ich przejściu. W chwili, gdy lektyka królowej Izabelli zbliżyła się, jeden jeździec dał jakiś znak czy hasło, po czym drugi, rozkazowi posłuszny, uderzył kijem przednie konie honorowej straży miejskiej, które im drogę tamowały. Jeden z koni, uderzony w głowę, cofnął się, drugi wyrwał się spłoszony naprzód, a wówczas, korzystając z zamieszania i powstałej luki, rzucili się w nią, popędzając szybciej swojego konia i przewracając pod drodze Raj na Piekło, Śmierć na Czyściec, a cnoty chrześcijańskie na grzechy główne. Niewstrzymani – dotarli do lektyki wśród krzyków

pospólstwa, ścigani przez księcia de Touraine i księcia de Bourbon, którzy widząc gnających ku królowej, dobyli swych mieczy z pochew.

Królowa, przełknięta hałasem, nie wiedziała jeszcze, co się stało, gdy nagle pomiędzy deputowanymi kupiectwa spostrzegła obu winowajców. Pierwszym jej zamiarem było wcisnąć się jak najgłębiej w lektykę, ale ten z jeźdźców, który rozkazywał drugiemu, nachyliwszy się z konia, szepnął królowej kilka słów do ucha, uchylił czapeczki, zdjął z szyi gruby, złoty łańcuch, ozdobiony liliami z brylantów i włożył go na szyję królowej, która łagodnie nachyliła głowy i dar ten przyjęła; po czym jeźdźcy, spiąwszy konia ostroga, galopem popędzili dalej. W tejże samej chwili nadbiegli książę de Touraine i książę de Bourbon, a widząc z dala, jak dwaj obcy ludzie rzucili się ku królowej, wstrząsali mieczami, wołając:

– Śmierć, śmierć zdrajcom!

Tłok tak był wielki, że nieznanym śmiałkom nie udało się przedostać ku ulicy Saint-Denis. Wszyscy oczekiwali więc katastrofy, gdy królowa, widząc na co się zanoszą – podniosła się w lektyce i wyciągając rękę ku swemu szwagrowi, zawołała:

– Mości książę, co czynić zamierzacie!... To król!...

Dwaj książęta stanęli jak wryci, a drżąc z obawy o swego pana i władcę, podnieśli się w strzemiączach i wyciągając miecze nad głowy głębiej, wykrzyknęli głosem wielkim:

– Cześć i sława królowi!

Król Karol VI siedzący na koniu za panem Karolem de Savoiry, odpowiedział na ten okrzyk, odzując swój kaptur, a lud po długich włosach ciemnych, po niebieskich oczach, po ustach zbyt może dużych lecz odsłaniających prześliczne zęby, po elegancji ruchów, po łagodności i uprzejmości całej postawy, z łatwością poznał swego władcę, któremu mimo nieszczęść jakie dotknęły Francję podczas jego panowania, pozostawił przydomek Ukochanego, nadany mu przy wstąpieniu na tron.

Wówczas ze wszech stron rozległy się okrzyki: „Noël!” Koniuszowie i paziowie zaczęli powiewać chorągiewkami swoich panów, damy swymi szarfami i chustkami. Każdy chciał ujrzeć króla. Ale Karol VI przepuszczony z uszanowaniem, należnym majestatowi monarchy, wymknął się jedną z bocznych uliczek.

W pół godziny przywrócono porządek zmałowany zupełnie tym wypadkiem. Piotr de Craon skorzystał złośliwie z tej chwili, aby zwrócić uwagę księżnej Walentyny na to, że mąż jej mógł przyspieszyć dalszy pochód, wracając na swoje miejsce przy żonie, a przedłużał mitrę rozmawiając z królową i zatrzymując lektykę. Księżna Walentyna zbyła te słowa obojętnym uśmiechem, ale tłumione westchnienie zadało kłam temu uśmiechowi, a w głosie jej przebiegało poruszenie:

– Dlaczego nie zrobicie tej uwagi sami jego książęcej mości?

– Uczyniłbym to tylko na wasz wyraźny rozkaz, księżno; powrót jego odjąłby mi przywilej, jaki mi nadaje jego nieobecność: przywilej opieki nad wami.

– Jedyńm moim i rzeczywistym opiekunem jest pan mój, książę de Touraine, ale ponieważ na mój rozkaz czekacie, mości panie, to go wam daję. Idźcie powiedzieć księciu, że go proszę, aby raczył przybyć do mnie.

Piotr de Craon skłonił się i z pokorą oddalił się zakomunikować księciu słowa jego małżonki.

W chwili gdy wracali, ze środka tłumów rozległ się krzyk kobiecy. Młoda jakaś dziewczyna zemdlała. Był to wypadek nadto zwykły w podobnych okolicznościach, powrócili tedy na swoje miejsce, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę, z której ów krzyk dał się słyszeć i stanęli obok księżnej de Touraine, a orszak ruszył natychmiast w drogę, jakby tego tylko wszyscy oczekiwali.

Niedługo jednak nadarzył się nowy powód postoju.

U bramy du Châtelet zbudowano wysokie rusztowanie przedstawiające kamienny zamek, na którego rogach wznosiły się okrągłe baszty, a w nich stały warty, zbrojne od stóp do głowy. Wielka sala parterowa tego zamku pozbawiona była ścian zewnętrżnej, pośrodku stało łoże przybrane i ustrojone tak bogato, jak łoże królewskie w pałacu Świętego Pawła, wyobrażające „łoże sprawiedliwości”, a na nim spoczywała piękna i młoda dziewczyna, przedstawiająca świętą Annę.

Dokoła zamku zasadzono mnóstwo drzew zielonych, tworzących istny las, a w nim biegała wielka ilość zajęcy i królików, podczas gdy gromady ptactwa różnokolorowego przelatywały z gałęzi na gałąź ku wielkiemu zdziwieniu ludu, który pojąć nie mógł, jakim sposobem ulaskawić zdołano tyle, zwykle tak dzikich zwierząt. A zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy z lasu wyszedł pyszny, biały jelen wielkości tych, jakie hodowano w parku królewskim, tak doskonale wyrobiony jak gdyby był żywy. W jeleniu ukryty był człowiek, który zręcznie wykonywał wszystkie ruchy: otwierał i zamykał oczy, otwierał pysk

i poruszał nogami. Miał ów jeleni złocone gałęzie rogów, na szyi koronę zupełnie do królewskiej podobną, a na piersiach zawieszoną tarczę herbową, na której w polu niebieskim znajdowały się trzy złote linie – herb króla i Francji. Piękne i dumne zwierzę zbliżyło się do łoża, a wzięwszy zeń miecz – symbol sprawiedliwości, podniosło go do góry i wstrząsnęło nim silnie. Wtedy z lasu wyszedł lew i orzeł – symbole siły i chciały wydrzeć ten miecz święty, ale dwanaście dziewic trzymając różańce złote i dobyte miecze, otoczyły jelenia i poczęły go bronić. Po kilku daremnych usiłowaniach pochwycenia i pożarcia jelenia, lew i orzeł, zwyciężone, powróciły do lasu. Żywy wał, który bronił sprawiedliwości, rozwarł się, a jeleni podszedł grzecznie do lektyki królowej i ukląkł. Izabella głaskała go i pieściła, jak to zwykła była czynić w zamku królewskim z jeleniami. Zabawa ta zdała się być bardzo rozkoszną tak dla królowej jak i dla jej orszaku.

Tymczasem zmierzać się zaczęło, gdyż od samego Saint-Denis pochód szedł wolnym krokiem, a rozmaite widowiska urządzone po drodze wielce go wstrzymywały. Zbliżano się wreszcie do katedry Notre Dame. Pozostawał już tylko do przebycia most zwodzony, gdy wtem spostrzeżono widowisko niespodziewane i przecudowne. Człowiek przebrany za anioła, z płonącymi jasno pochodniami w rękach, ukazał się na szczytach świątyni i zaczął iść po sznurze tak cienkim, iż go zaledwie dojrzeć było można. Szedł ponad domami i zdawał się unosić cudownym sposobem, aż doszedł na dach jednego z domów stojących na moście. Królowa, zbliżając się właśnie do tego domu, dała człowiekowi znak, aby się nie wazył wracać tą samą drogą, tak niebezpieczną, ale on, nie domyślając się, jaki był sens tego znaku, nie zważał nań cofając się, aby nie odwracać twarzy od swej królowej i pani, doszedł znów do miejsca, z którego wyszedł i znikł na wieży katedry. Królowa zapytywała, co to był za człowiek, tak lekki i tak zręczny; odpowiedziano jej, iż był to pewien genueńczyk, mistrz w tego rodzaju sztukach.

Podczas tego widowiska zebrała się znaczna liczba ptaszników z klatkami pełnymi wróblei; ludzie ci stanawszy na drodze, którą przechodzić miała królowa, wypuszczali skrzydlatych więźniów swych na wolność. Był to stary zwyczaj, symbolizujący nadzieję, jaką żywił zawsze lud, że nowe panowanie przyniesie mu wolność i nowe swobody. Dziś zwyczaj ten zaginął, ale nie zaginęła nadzieja...

Przybywszy do kościoła Notre Dame, królowa spotkała na stopniach biskupa Paryża, przybranego w mitrę, stułę, kask i kirys Zbawiciela Pana. Dokoła niego znajdowało się wyższe duchowieństwo i delegaci Akademii, która używając tytułu starszej córki królewskiej, miała przywilej asystowania przy koronacji. Królowa wysiadła z lektyki; damy jej orszaku uczyniły to samo, jak również panowie i rycerze, którzy oddali konie pieczy swoich paziów i służących. W towarzystwie książąt de Touraine, de Berri, de Bourbon i Burgundii, królowa weszła do świątyni, wprowadzona przez biskupa i duchowieństwo śpiewające głośno i pięknie psalmy na cześć Pana Najwyższego i Dziewicy Maryi.

Doszedłszy do wielkiego ołtarza, królowa Izabella upadła pobożnie na kolana i odmówiwszy modlitwy złożyła kościołowi Notre Dame w podarunku cztery sztuki złotogłowiu i koronę, którą aniołowie ozdobili jej skronie u drugiej bramy w ulicy Saint-Denis. W zamian panowie Jan de la Rivière i Jan Lemercier przynieśli inną, kosztowniejszą i piękniejszą, podobną do tej, jaką na głowie nosił król, gdy zasiadał na tronie. Biskup, ująwszy koronę za wierzchołek z lilii spleciony, przy pomocy czterech książąt włożył ją delikatnie na głowę Izabelli. Okrzyki radości podniosły się ze wszech stron, gdyż od tej dopiero chwili Izabella została rzeczywistą królową Francji.

Królowa i panowie wyszli tedy z kościoła i zajęli na powrót miejsca w lektykach, na koniach i w powozach. Po dwóch stronach orszaku szło sześćset służących, niosących woskowe świece, od których blask był tak wielki, jak gdyby słońce świeciło na niebie. W ten sposób królowa odprowadzona została do pałacu, gdzie na nią oczekiwał król, mający po prawicy królową Joannę, a po lewicy księżną Orleanu. Królowa, wysiadłszy, ukląkla jak w kościele, dając tym do zrozumienia, że uznaje Pana nad Pany za swego władcę na niebie, a króla za pana swego na ziemi. Król podniósł ją i ucałował. Naród wznosił okrzyki: „Noël! Noël!”; widząc ich bowiem złączonych, tak młodych i pięknych, sądził, że dwaj aniołowie – stróże królestwa Francji opuścili jeden prawicę, drugi lewicę tronu Najwyższego Boga.

Potem panowie pożegnali króla i królową, i odeszli do swoich domów; pozostali tylko ci, którzy należeli do dworu i służby. Naród pozostał przed pałacem, krzycząc: „Noël!” aż do chwili, kiedy ostatni paź wszedł za ostatnim z panów. Wtedy bramy się zamknęły, światła oświecające plac rozproszyły się i powoli pogasły, tłumy odpłynęły tysiącami ulic i uliczek, które jak arterie i żyły niosą życie do krańców stolicy. Niezadługo i ten szmer rozchodzącego się ludu ucichł zupełnie. W godzinę później panowała wszędzie ciemność i cisza, i słychać było tylko te nieokreślone i głuche odgłosy, na które składają się wszystkie niepochwycone nocne szmery, zdające się być głębokim tchnieniem uspiętego olbrzyma.

Długo i szeroko rozpisaliśmy się o wjeździe królowej Izabelli do Paryża, o osobach, które jej towarzyszyły i o uroczystościach danych z tej okazji. Uczyniliśmy to nie tylko dlatego, aby dać czytelnikom obraz obyczajów i zwyczajów ówczesnych, ale także i dlatego, aby okazać słabe i wątłe, jak rzeki u swego źródła, początki zgubnych miłości i śmiertelnych nienawiści, które w owej chwili rodziły się i powstawały dokoła tronu. Teraz zobaczymy je ożywione, wzrastające przy każdej burzy, rozszalałe i niszczące Francję, i to panowanie, które swymi wybuchami tak nieszczęsnym uczyniły.

II

Jeżeli czytelnik nie obawia się zapuścić z nami w uliczki Paryża, któreśmy mu w końcu poprzedniego rozdziału pokazali z daleka, zaprowadzimy go na róg ulic Coquillière i du Sejour. Zobaczymy tam mężczyznę wychodzącego tajemnymi drzwiami z pałacu książąt de Touraine. Mężczyzna ten, owinięty w długi i obszerny płaszcz, z kapturem spuszczonego na czoło, zatrzymawszy się chwilę dla policzenia uderzeń wielkiego zegara Luwru, który właśnie wydzwonił dziesiątą, wydobyl z pochwy szpadę i spróbował jej sprężystości, zginając ją na progu. Zadowolony z rezultatu próby, począł iść krokiem pewnym, krzesząc końcem stali iskry z bruku i pośpiewując sobie zwrotki starej ballady o panu de Coucy.

Idźmy za nim ku ulicy de Etuves, ale idźmy wolno, zatrzyma się on bowiem u stóp krzyża du Trahoir, gdzie krótką odmówi modlitewkę. Potem podniesie się i śpiewając dalej puści się wielką ulicą Saint Honoré do ulicy de la Feronnerie. Doszedłszy do rogu, mężczyzna przestał śpiewać i w milczeniu posuwał się dalej wzdłuż muru Cmentarza Niewiniątek. Tu nagle stanął, przebiegł szybko ulicę i zatrzymał się przed małymi drzwiczkami, do których lekko po trzykroć zapukał.

Snadź oczekiwano go tutaj, gdyż pomimo cichego stukania odpowiedziano natychmiast słowami:

– Czy to wy, mości Ludwiku?

Na potakującą odpowiedź drzwi się otworzyły i zamknęły po cichu, skoro tylko próg przestąpił. Jakkolwiek śpieszno było mężczyźnie, nazwanemu Ludwikiem, jednak przystanął w korytarzu, schował szpadę do pochwy i zrzucił na ramiona kobiety, która go wprowadziła, płaszcz swój szeroki. Teraz możemy przyjrzeć mu się bliżej. Jest to człowiek młody i piękny, ubrany w skromny, lecz elegancki kostium koniuszego. Kostium ten składał się z czarnej aksamitnej czapeczki, z takiegoż kaftana, spod którego zieleniły się rękawy atlasowego zupana. Dla uzupełnienia opisu dodać należy pantalon z materii fioletowej, mające u góry wyhaftowaną tarczę herbową z trzema złotymi liliami. Nad tarczą świeciła książęca korona.

Gdy przybyły pozbył się płaszcz, poprawiwszy na sobie ubranie i przekonawszy się, że piękne jego blond włosy w regularnych zwojach opadają na ramiona, zapytał swobodnie, choć cicho:

– Dobry wieczór, mamko Joanno! Czujną jesteś, dziękuję ci... Cóż robi śliczna twoja pani? Jest w swoim pokoju, nieprawdaż?

– Tak, panie.

– A ojciec?

– Śpi.

Stanął na kręconych schodach, prowadzących na wyższe piętra domostwa, z pewnością człowieka dobrze z miejscem obeznanego. Przybywszy na piętro, dostrzegł światło przedostające się przez szparę drzwi. Po cichutku zbliżył się do nich i popchnąwszy je znalazł się w pokoju, którego umeblowanie znamięnowało mieszkańców średniego stanu. Niedosłyszany mógł przez chwilę sycić oczy prześlicznym obrazem, jaki mu się przedstawił.

Przy łóżku rzeźbionym, osłoniętym zieloną adamaszkową kotarą, klęczała młoda dziewczica. Ubrana była w długą suknię białą, której szerokie rękawy spadały aż do ziemi, odsłaniając od łokcia ramiona wdzięcznie zaokrąglone i zakończone białymi i prześlicznymi rączkami, na których w tej chwili spoczywała jej główka. Jej długie blond włosy, spadające falisto na ramiona, sięgały niby płaszcz złocisty aż do posadzki. W stroju tym było coś tak prostego, tak powiewnego i anielskiego, że dziewczica wydawałaby

się zjawiskiem nie z tego świata, gdyby nie tłumione łkania z piersi jej się wydzierające, które wyraźnie dowodziły, że i ona jest córką ziemi, zrodzoną z kobiety i do cierpień stworzoną.

Słyszając te łkania, nieznamy poruszył się, dziewczę się odwróciło... Nieznajomy pozostał nieruchomy przy drzwiach, widząc ją tak smutną i tak bladą. Wtedy ona podniosła się i powoli postąpiwszy ku młodzieńcowi, który patrzył na nią milcząco i zdziwiony, przyklęła na jedno kolano.

– Co robisz, Odetto? – zawołał – i co znaczy ta postawa?

– Robię to – odpowiedziała dziewczę – co robić powinnam i co każda mnie równa zrobić powinna, gdy się znajduje wobec tak wielkiego pana i księcia.

– Ty śniesz chyba, Odetto?

– Obym śniła, mości księżę, i obym po zbudzeniu była taką, jaką byłam, zanim was poznałam, bez łez w oczach i bez miłości w sercu!

– Na moją duszę! Albo ci się w głowie pomieszało, albo ci kto kłam jakiś podszeptał!

Przy tych słowach objął ją ramionami i podniósł z ziemi, ale ona, choć nie mogła zerwać więzów, które ją trzymały, cofnęła się i rzekła:

– Nie pomieszało mi się w głowie, księżę, ani też nikt kłamliwymi słowy mnie nie złudził. Widziałam was!...

– Gdzież to?!

– W orszaku, rozmawiającego z królową, panią naszą; poznałam was, chociaż byliście wspaniale przystrojeni, mości księżę!...

– Ależ mylisz się, Odetto – jakieś podobieństwo cię łudzi!

– Tak!... I ja tak wierzyć chciałam i byłabym uwierzyła, ale był tam także pan, który przedwczoraj przybył tu z wami, a który z wami – jak mówiliście, mości księżę, zostaje w służbie księcia de Touraine.

– Piotr de Craon?!

– Tak, to właśnie, jak mi się zdaje, nazwisko które mi wymieniono.

Po chwili milczenia, ze smutkiem mówiła dalej:

– Wy, mości księżę, nie widzieliście mnie, boście mieli oczy jeno dla królowej i nie słyszeliście krzyku, z którym upadłam zemdlona, gdy mi się zdawało, że umieram, bo słuchaliście tylko głosu królowej pani! Tak jest i tak być musiało! Ona tak piękna!... Ach!... Boże mój, Boże!...

– Ależ, Odetto droga – rzekł księżę – o cóż chodzi? Mniejsza o to, kim jestem, jeśli cię kocham prawdziwie!

– Mniejsza o to, mości księżę? – powtórzyła Odetta, usuwając się znowu. – Mniejsza o to, mówicie?... Nie rozumiem was, panie!

I jakby znużona tym wysiłkiem, położyła głowę na jego ramieniu i ciągle w oczy mu patrząc, mówiła:

– A czym bym się stała wierząc, że jesteście mi równi stanem i uległa naleganiom waszym, w nadziei, że mnie poślubicie? Gdyby tak było, dziś znaleźlibyście mnie martwą! Och! Jednak prędko byście o mnie zapomnieli; królowa pani jest tak piękna!...

– Uspokój się, Odetto; tak, w istocie, kłamałem przed tobą, mówiąc, że jestem tylko koniuszym. Jestem księciem de Touraine, to prawda!

Odetta westchnęła głęboko.

– Ale powiedz mi sama, najmilsza moja, czy bogatego i możnego pana, którego widziałas wczoraj, nie kochałabyś bardziej, niż skromnego biedaka, który przed tobą stoi w tej chwili?

– Ja, mości księżę... Ja was nie kocham!

– Jak to!... wszakże tyle razy mówiłaś...

– Kochałam koniuszego Ludwika, kochałam tego, który był równym biednej Odetcie de Champdivers i oddałabym zań z uśmiechem krew moją i życie. Oddałabym je także za wielkiego i potężnego księcia de Touraine, ale uczyniłabym to z obowiązku; lecz cóż po życiu moim i po krwi mojej możnemu i szlachetnemu małżonkowi Walentyny Mediolańskiej i kawalerowi królowej Izabelli?!

Księżę chciał odpowiedzieć, gdy w tej chwili wpadła stara mamka z wyrazem przerażenia na twarzy.

– O, dziecię moje biedne! – zawołała, biegnąc ku Odetcie. – Czego oni chcą od ciebie?

– Kto taki? – zapytał księżę.

– O, mości Ludwiku, przysłali po panią ze dworu. Księżę spojrzął na Odetę.

– I któż to taki po panią przysyła, niech się raz dowiem! – dodał, patrząc nieufnie na Joannę.

– Jej książęca mość, Walentyna Mediolańska.

– Moja żona? – zawołał książę.

– Jego żona? – powtórzyła Joanna z przerażeniem.

– Tak, jego żona – rzekła Odetta, opierając rękę na ramieniu swej mamki – oto widzisz przed sobą jego wysokość brata królewskiego. Tak, ma on żonę i powiedział, śmiejąc się, żonie tej: „Tam na ulicy de la Feronnerie, naprzeciw Cmentarza Niewiniątek, mieszka pewna biedna dziewczyna, która przyjmuje mnie co wieczór, podczas gdy jej ojciec śpi na gorze... To nie do uwierzenia, jak mnie kocha to biedne dziewczę!...”

I Odetta poczęła śmiać się cierpko.

– Odetto! – przerwał gwałtownie książę. – Niech skonam natychmiast, jeżeli jest jak mówisz! Wolałbym stracić sto tysięcy liwrów, aniżeli doczekać tego, co się tu stało. O, przysięgam ci, że wykryję, kto zdradził nasze tajemnice, a biada temu, który sobie tak ze mnie zażartować pozwolił!...

Postąpił kilka kroków ku drzwiom.

– Dokąd idziecie, książę? – spytała Odetta.

– Nikt w m o i m pałacu de Touraine nie ma prawa wydawać rozkazów, tylko ja sam; idę wydać rozkaz ludziom, czekającym tam na dole, aby odeszli natychmiast!

– Mości książę, macie wszelkie prawo i władzę po temu, ale... ludzie ci, powiedzą księżnej, że was tu zastali, o czym ona nie wie może, a wtedy uważać mnie będzie za bardziej winną, niż jestem, i zgubiona będę bez miłosierdzia.

– Ale ty nie pójdziesz do pałacu de Touraine?

– I owszem, mości książę, należy mi pójść koniecznie. Zobaczę księżną Walentynę, wyznam jej wszystko, upadnę do kolan i prosić będę o przebaczenie. Co do was, książę, nawet przebaczenie łatwiej otrzymacie ode mnie!

– Rób, jak chcesz, Odetto – rzekł książę. – Zawsze masz słuszość, zawsze jesteś aniołem!

Odetta uśmiechnęła się smutnie i dała znak Joannie, aby jej przyniosła okrycie.

– Jakżeż pójdziesz do pałacu? – zapytał książę.

– Ludzie ci mają lektykę ze sobą – odparła Joanna, zarzucając płaszcz na ramiona swej pani.

– W każdym razie czuwać będę nad tobą – rzekł książę.

– Bóg już okazał opiekę swoją nade mną, mości książę. Mam nadzieję, że On mnie nie opuści.

Po tych słowach, skłoniwszy się księciu z szacunkiem i godnością, zesza ze schodów.

– Oto jestem, panowie – rzekła do oczekujących przed domem. – Prowadźcie mnie, dokąd trzeba.

Książę pozostał przez chwilę nieruchomy i milczący, potem wybiegł z pokoju, zatrzymał się by dojrzeć zdążających ku ulicy Świętego Honoriusza ludzi z lektyką, a potem zawrócił i pobiegł ulicą Saint-Denis, skręcił w ulicę aux Fers, a przebiegłszy targ zbożowy, przybył do pałacu de Touraine, by dojrzeć znowu lektykę w głębi ulicy des Etuves. Pewny, że ją o kilka minut uprzedził, wsunął się przez tajne drzwi i dopadłszy swoich apartamentów, wślizgnął się po cichutku do gabinetu przylegającego do sypialni Walentyny, skąd przez szklane drzwi dojrzeć mógł wszystko, co się tam działo.

Księżna Walentyna stała na środku pokoju, niespokojna i niecierpliwa, zwracając przy najlżejszym szeleście oczy ku drzwiom; pyszne jej brwi czarne, tworzące łuk tak dokładny przy spokojnej twarzy, ściągały się teraz gwałtownie. Była ubrana bogato i z widocznym staraniem o podkreślenie swych wdzięków. Mimo to, od czasu do czasu podchodziła do zwierciadła, siląc się na przybranie wyrazu słodyczy i łagodności, który stanowił główną jej cechę. Chciała bowiem podwójnie upokorzyć tę kobietę, która zapragnęła być jej rywalką. Wysokie stanowisko i świetne wdzięki zgnębić miały zuchwałą.

Słyszając szmer i odgłosy w sąsiednim pokoju, podniosła rękę do czoła, drugą szukając podpory, albowiem czuła, że wzrok jej się zaćmiewa i że się pod nią uginają kolana. Wreszcie w rozwartych drzwiach ukazał się służący, zawiadamiając, że dziewczica, którą jej książęca mość widzieć chciała, oczekuje w sąsiednim pokoju.

Księżna dała znak, że gotowa jest przyjąć przybyłą.

Odetta pozostawiła płaszcz w przedpokoju i ukazała się w tym skromnym i prostym stroju, w jakim ją już widzieliśmy i tylko po drodze z włosów splotła długi warkocz, który opadał jej na piersi i dosięgał kolan. Wszedłszy, zatrzymała się przy drzwiach, które się za nią zamknęły... Księżna stanęła niema i nieruchoma, ujrawszy to białe i czyste zjawisko. Zdziwiło ją, że znalazła tę dziewczynę, o której inne zupełnie wyrobiła sobie przekonanie, tak skromną i tak poważną. Spostrzegła się, że jej pierwszej wypadało przemówić, a czuła się zakłopotana.

– Zbliż się – rzekła głosem, którego naturalną słodycz tamowało wzruszenie.

Odetta przybliżyła się ze spuszczonymi oczyma, lecz ze spokojnym i pogodnym czołem. Potem, gdy już tylko o trzy kroki oddalona była od księżnej, przyklękła na jedno kolano.

– A więc ty jesteś tą – mówiła dalej księżna – która pragnie szkodzić mi i krzywdę czynić? I myślisz, że po tym coś uczyniła, wystarczy przyjść i uklęknąć przede mną, aby uzyskać przebaczenie?...

Odetta podniosła się szybko. Żywy rumieniec wystąpił na jej lica.

– Przyklękłam przed tobą, pani – rzekła – nie dlatego, aby cię prosić o przebaczenie, gdyż – dzięki niebu – nie mam sobie do wyrzucenia żadnego względem waszej książęcej mości występku. Przyklękłam, albowiem pani jesteś księżną, potężną i wielką, a ja biedną dziewczyną, ale teraz, gdy oddałam cześć godności twojej, powstaję i stojąc odpowiadać będą na pytania, jakie waszej wysokości postawić się spodoba.

Walentyna nie spodziewała się tego spokoju. Zrozumiała łatwo, że tylko niewinność lub bezczelność, przybierająca jej maskę, może tak śmiało przemówić. Zobaczyła piękne niebieskie oczy, tak łagodne i tak przezrocze, że zdawały się być oknami dziewiczego serca i zrozumiała, że to serce czyste być musi, jak serce anioła niewinności. Księżna de Touraine była dobra z natury i gdy pierwszy poryw głębokiej zazdrości, pod którego wpływem działała i mówiła, ustąpił, podała rękę Odetcie i rzekła z niewypowiedzianą łagodnością:

– Pójdź!

Ta zmiana w tonie i głosie księżnej spowodowała nagły przewrót w myślach i zamiarach biednej dziewczynki. Przygotowana była na gniew, a nie na łaskawość. Wzięła podaną rękę i przycisnęła ją do ust.

– O! – zawołała ze łzami – przysięgam ci, miłościwa pani, że nie ma w tym mojej winy. On przyszedł do ojca mego jako prosty koniuszy księcia de Touraine, niby z zamiarem kupienia koni dla swego pana. Zobaczyłam go!... był tak piękny!... Patrzyłam na niego bez obawy, sądziłam, że to mi wolno przecie, że on mi równy!... On przystąpił do mnie i zaczął mówić, a głos jego był tak słodki, że nigdy przedtem nie słyszałam takiego, chyba w moich marzeniach dziecięcych; w owych latach, gdy aniołowie zstępowali do mej kołyski podczas snu. Nie wiedziałam nic, ani że miał żonę, ani że był księciem i bratem królewskim!... Gdybym wiedziała, że jest małżonkiem twoim, pani, i gdybym cię znała tak piękną i wspaniałą, jaką jesteś, byłabym zgadła, że żartował sobie jeno ze mnie. Teraz już wszystko skończone i wszystko wiadome, on mnie nigdy nie kochał... i ja go już nie kocham...

– Biedne dziecię! – zawołała Walentyna, patrząc na nią z litością. – Biedne dziecię! – powtórzyła. – Ona myśli, że można go raz pokochać i potem o nim zapomnieć!...

– Ja nie powiedziałam, że zapomnę – odparła Odetta smutnie – powiedziałam, że go już kochać nie będę, gdyż można kochać tylko sobie równego, kochać tylko tego, którego żoną można zostać. O! wczoraj, wczoraj, gdy go zobaczyła wśród tego wspaniałego orszaku, w tym stroju przepyszny! Gdy go zobaczyła i poznała rysy tego Ludwika, którego uważała za mojego, w księciu de Touraine, który jest twoim, pani miłościwa... O! przysięgam! zdawało mi się, że ktoś na mnie rzucił urok jakiś i że mnie oczy moje mylą. Zaczął mówić i życie we mnie zamarło... Usłyszałam go!... Niestety, to jego był głos! On mówił do królowej! O! królowa!...

Odetta drżała konwulsyjnie, błada jak chusta.

– Czy pani nie nienawidzisz jej, tej królowej?! – dodała po chwili z wyrazem boleści niewypowiedzianej.

Walentyna żywo zakryła ręką usta Odetty.

– Milcz, dziecko! – rzekła. – Izabella jest naszą władczynią i królową! Bóg dał ją nam za panią i powinniśmy ją kochać!...

– Tak samo mówił ojciec – odpowiedziała Odetta – gdy wróciła na pół martwa i gdy mu powiedziała, że nie kocham królowej...

Spojrzenie księżnej spoczęło na Odetcie z wyrazem słodyczy i dobroci nieskończonej. W tej chwili biedna dziewczynka podniosła bojaźliwe oczy. Spojrzenia obu kobiet spotkały się, księżna otworzyła ramiona. Odetta upadła jej do nóg i ucałowała jej kolana.

– A teraz nic więcej nie mam ci do powiedzenia – rozpoczęła znów księżna – idź!... Przynieś mi tylko, że się z nim więcej widzieć nie będziesz. Oto wszystko, czego od ciebie wymagam.

– Tego waszej wysokości, na nieszczęście, przyrzec nie jestem w możności. Pani! Książę jest bogaty i potężny; może, jeżeli pozostanę w Paryżu, odnaleźć mnie; jeżeli się oddalę, może mnie zmusić do powrotu... Na to jednak przysiąc mogę, że pierwej umrę, aniżeli przyjmę go kiedykolwiek.

– Jesteś aniołem – rzekła księżna – i spodziewać się będę szczęścia na tym świecie, jeżeli mi przyrzeczesz, że modlić się będziesz za mną do Boga!

– Modlić się do Boga za panią!... Czyż nie jesteś jedną z tych księżniczek szczęśliwych, które samo szczęście do chrztu podaje? Jesteś piękna, młoda, jesteś potężna i wolno ci go kochać?...

– A więc módl się do Boga, aby on mnie kochał!...

– Spróbuję – odrzekła Odetta przyciszonym głosem.

Księżna wzięła ze stołu maleńką srebrną świstawkę i gwizdnęła. Na to wezwanie ukazał się we drzwiach ten sam służący, który uwiadomił księżnę o przybyciu Odety.

– Odprowadź do domu tę panienkę – rzekła księżna – i pilnuj, aby się jej nic złego w drodze nie wydarzyło. Odetto! – dodała – jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, protekcji lub opieki, pomyśl o mnie i przyjdź...

Podawała jej rękę jak siostrze.

– Odtąd na tym świecie niewiele pewno potrzebować będę, ale wierz mi, pani miłościwa, że bez konieczności uciekania się do ciebie, często myśleć będę o tobie.

Skloniła się przed księżną głęboko i wyszła.

Pozostawszy sama, księżna de Touraine usiadła, spuściła głowę na piersi i zatopiła się w głębokim rozmyślaniu. Zostawała już tak chwil kilka, gdy drzwi gabinetu cicho się otworzyły. Książę wsunął się na palcach nie dojrzany i nie dosłyszany stanął poza oparciem fotela, na którym siedziała jego małżonka. Stał tam przez chwilę, a widząc, że nie spostrzegła jego obecności, zdjął z szyi pyszny łańcuch pereł i podnosząc go ponad głowę księżnej, upuścił na jej ramiona. Walentyna krzyknęła, a podniósłszy głowę, spostrzegła księcia.

Wtedy wzrok jej stał się badawczy i przenikliwy, ale on był na tę scenę przygotowanym i zniósł spojrzenie to z uśmiechem człowieka zupełnie spokojnego i nie wiedzącego nic o tym, co się przed chwilą stało; więcej nawet: gdy księżna opuściła głowę, on głaszcząc ją po twarzy, podniósł ją i łagodnie położył tę piękną główkę na górnej poręczy fotela, zmuszając ją, aby nań jeszcze raz spojrzała.

– Czego życzy sobie wasza książęca mość? – spytała Walentyna.

– Prawdziwie wstydzić się powinny przesławione Wschodu kraje! – zawołał, biorąc lekko w palce łańcuch, który dopiero co dał żonie i perłami rozsuwając jej wargi. – Oto łańcuch, który właśnie przysłał mi w darze, jako wielką osobliwość, król węgierski, Zygmunt Luksemburski. Jemu zdaje się, że to prezent godny cesarza, a nie wie, że ja mam tuż przy sobie perły bielsze i kosztowniejsze, niż wszystkie inne na świecie.

Walentyna westchnęła. Książę zdawał się nie zauważać tego.

– Czy wiesz, że nigdy nic równie jak ty pięknego nie widziałem, droga księżno, i że zaprawdę szczęśliwym mnie nazwać można, iż posiadam taki skarb niezrównany! Kilka dni temu, wuj mój, książę de Berri, wychwalał przede mną piękność i blask oczu królowej, na które jakoś nie zwróciłem uwagi, tak że wczoraj korzystając ze sposobności, jaką mi miejsce moje w orszaku dawało, starałem się jej przyjrzeć dobrze...

– No i cóż? – zapytała Walentyna.

– Piękne są te oczy, ale przypominam sobie, że widziałem gdzieś innych oczu dwoje... prawda, że nie mogę przypomnieć gdzie, ale to takich oczu, że mogłyby z pewnością wytrzymać wszelkie porównanie! Spójrz na mnie, droga Walentyno!... Ach, otóż właśnie, przypominałem sobie! Te oczy cudowne widziałem w Mediolanie, w pałacu księcia Galeasa. Świeciły one pod brwiami czarnymi jak heban, nakreślonymi tak pięknie, że żaden chyba malarz równie pięknych nie nakreślił. Należały one do pewnej Walentyny, później żony niejakiego księcia de Touraine, który, przyznać należy, niegodzien był tego szczęścia.

– I myślisz, książę, że szczęście to jest w istocie dla niego tak wielkie? – zapytała Walentyna, spoglądając nań ze smutkiem i miłością.

Książę ujął jej rękę i przycisnął do serca. Walentyna opierała się nieco, ale on przyciągnął ją silniej, a zdjawszy z palca przepyszny pierścień, wsunął go na jej palec.

– Co znaczyć ma ten pierścień? – spytała.

– Jest to podarunek, który ci się, piękna księżno moja, z prawa należy; ty bowiem przyczyniłaś się do tego, że ten pierścień wygrałem.

Książę opuścił miejsce, jakie zajmował za fotelem swej żony, i usiadłszy na taborecie u jej stóp, oparł łokieć o poręcz fotela.

– Wygrałem ten pierścień – powtórzył – i to wygrałem do pana de Coucy.

– W jaki sposób?

– Dowiesz się natychmiast, lecz radzę ci pogniewać się na niego za to, iż śmiał trzymywać, jakoby widział rączki, prawie tak ładne jak twoje.

– Gdzież to, mianowicie?

– W pewnym miejscu, przy ulicy de la Feronnerie, w którym kupował konie.

– Któż u handlarza koni mógł mieć tak piękne ręce?

– Córka jego. Rozumie się, że przeczyłem temu uparcie. On znów przez upór obstawał przy swoim, tak że przyszło do zakładu między nami. On stawiał w zakład ten pierścień, a ja ten łańcuch z pereł. – Walentyna patrzyła na księcia, jakby chciała czytać w głębi jego duszy.

– Przebrałem się tedy za prostego koniuszego dla zobaczenia tych rączek cudownych i poszedłem do starego Champdiversa, gdzie kupiłem za cenę szaloną dwa najgorsze rumaki, jakich kiedykolwiek grzeszny rycerz w książęcej koronie dosiadał za pokutę. Ale też za to widziałem boginię „o białych ramionach”, jakby ją nazwał Homer. Przyznać trzeba, że Coucy nie był tak bardzo szalony, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, i jak ja zrazu sądziłem, a zaprawdę – dziwne jest, w jaki sposób tak piękny kwiat wyrósł w tak nędznym ogrodzie. Jednakże, piękna pani, nie uznałem się za zwycięzonego i jako rycerz prawy broniłem honoru damy moich myśli. Coucy również nie ustępował. Krótko mówiąc, już mieliśmy iść do króla i prosić go o pozwolenie naznaczenia turnieju dla rozstrzygnięcia kwestii, gdy na koniec zgodziliśmy się na sąd Piotra de Craon, którego wybraliśmy na arbitra, jako wielce w tych sprawach doświadczonego. Tak więc poszliśmy razem, temu zdaje mi się dni ze trzy, do pięknej tej dziewczeczki i skutkiem tego pierścień lśni dziś na twoim placu, księżno... Na honor, Craon okazał się wybornym sędzią!... Cóż powiesz o tej historii?

– Powiem, że już mi była znana, mości książę – odpowiedziała księżna, z powątpiewaniem jeszcze spoglądając na niego.

– Ho, ho! A to skąd? Coucy jest przecie zanadto dyskretnym kawalerem, żeby się miał sam z tym chwalić, szczególnie przed tobą.

– Nie od niego też wiem o tym.

– Od kogo zatem? – pytał Ludwik, udając największą obojętność.

– Od waszego arbitra.

– Od Piotra de Craon? Ach!...

Brwi księcia ściągnęły się gwałtownie, a zęby zgrzytnęły; w tej samej chwili wszelako przybrał na powrót dawny uśmiech i wesołość.

– Tak, rozumiem – mówił dalej – Piotr wie, że go uważam za najlepszego mego towarzysza i że w moich łaskach wysoko stoi; chciał sobie zapewne i twoje zaskarbić! Cudownie uczynił... Ale, czy nie uważasz pani, że to już za późno trochę na takie rozmowy? Pomnij, że jutro król czeka nas z obiadem, że po uczcie turniej naznaczony i że ja ostrzem mojej kopii dowieść mam, iż ty jesteś najpiękniejszą z kobiet, a wiedzieć trzeba, że sędzią tu nie będzie pan Piotr de Craon!

Mówiąc to, książę wstał i poszedł ku drzwiom, w których pierścienie założył drewniany drążek pokryty aksamitem, haftowanym w lilie. W owe czasy tak zamykało drzwi od wewnątrz.

Walentyna śledziła go badawczo wzrokiem, a gdy powracał ku niej, podniosła się i zarzucając mu ramiona na szyję, zawołała:

– O, książę mój ukochany, zaprawdę, jeżeli mnie zdradzasz, wielkim jesteś przestępcą!

III

Nazajutrz książę de Touraine wstał bardzo wcześnie i przybył do pałacu królewskiego, gdzie zastał brata swego, Karola, oczekującego mszy świętej. Król, który kochał go bardzo, postąpił ku niemu z uśmiechem i przyjazną twarzą; spostrzegł jednak, że książę wielce smutną miał minę. Zaniepokoiło to Karola, więc podając mu rękę i pilnie się w niego wpatrując, rzekł:

– Kochany bracie, co was zasmuca? Powiedzcie mi, co za strapienie macie?

– Panie – rzekł książę – tak jest w istocie, nie bez ważnej przyczyny smutek mam na twarzy.

– Jeżeli tak – rzekł król, opierając się na jego ramieniu i odprowadzając go ku framudze okna – to wyjawcież nam tę przyczynę; chcemy ją poznać i jeżeli ktokolwiek wam krzywdę wyrządził, naszą już będzie rzeczą sprawiedliwość wymierzyć...

Wtedy książę de Touraine opowiedział mu wczorajsze przygody. Powiedział mu, jakim sposobem Piotr de Craon zdradził jego zaufanie, opowiadając jego tajemnice Walentynie i to w złych zamiarach; zaś gdy widział, że król podziela jego oburzenie i urazę, dodał:

– Miłościwy panie, klnę się na wierność, którą wam winien jestem, że jeżeli nie uzyskam u was sprawiedliwości, dziś jeszcze, wobec całego dworu, nazwany kłamcą i zdrajcą, zginie on z mojej ręki.

– Nie uczynicie tego – rzekł król – my was o to prosimy. Ale za to każemy mu powiedzieć, i to najpóźniej dziś wieczór, aby opuścił nasz pałac i aby wiedział, że dalszych służb jego nie potrzebujemy. Jest to też nie pierwsza skarga – dodał król – wniesiona do nas na tego człowieka i jeżeli dotąd niechętnie dawaliśmy tym skargom ucha, to jedynie przez wzgląd na was i na to, że waszym był sługą. Brat nasz, książę d’Anjou, król Neapolu, Sycylii i Jerozolimy, gdzie leży święta Kalwaria – tu król przeżegnał się – miał także, o ile nam się zdaje, powody uskarżać się na niego, a to z racji jakichś znacznych sum pieniężnych, jakie mu uronił. Zresztą jest on także kuzynem księcia Bretanii, który za nic ma wolę naszą i dowodzi nam tego codziennie, bo oto teraz nie uczynił tego, cośmy wymagali dla wynagrodzenia naszego wielkiego marszałka; oprócz tego, przychodzi nam na pamięć, że niegodny ten książę dotąd nie uznaje papieża awiniońskiego, który jest jedynym papieżem prawdziwym i że mimo zakazu naszego bije ciągle monetę ze złota, chociaż, według prawa, nie wolno wasalowi bić innej monety, jak tylko z miedzi. Dalej jeszcze – mówił król, zapalając się coraz bardziej – wiem, i to z dobrego źródła – mój bracie, że urzędnicy jego nie uznają jurysdykcji parlamentu paryskiego, a nawet, co już jest prawie zdradą stanu, posuwa się do przyjmowania przysięgi absolutnej od swych wasalów bez wzmianki o naszej nad nimi i nad nimi władzy. Wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy, o których nie wspominam, jest powodem, że jego kuzyni i przyjaciele nie mogą być zarazem moimi; jest mi to na rękę, że przychodzicie ze skargą przeciw Piotrowi de Craon, do którego i ja już poczynałem tracić zaufanie. A zatem, niechże już nie będzie więcej mowy o tej sprawie. Dziś wieczór możesz mu objawić w tym względzie swoją wolę, a ja jemu moją. Co zaś się tyczy księcia Bretanii, to sprawa pomiędzy panem i lennikiem, i jeżeli król Ryszard zgodzić się zechce na trzyletnie zawieszenie broni, jakie mu proponowaliśmy, zobaczymy wtedy; chociaż Bretończyk jest popierany przez wuja naszego, księcia Burgundii, którego siostrzenica jest jego żoną, zobaczymy, kto z nas dwu, jak czy on, jest panem w królestwie Francji.

Książę podziękował królowi, gdyż w istocie wdzięczny mu był bardzo za wzięcie do serca jego urazy.

Z trzydziestu rycerzy, biorących w dniu tym udział w turnieju, którzy nazwani byli rycerzami złotego słońca, ponieważ nosili je na tarczach jako symbol, dwudziestu dziewięciu uzbrojonych czekało już w szrankach. Na koniec przybył trzydziesty. Był to sam król...

Głośnie okrzyki powitały przybywającą równocześnie królową. Zasiadła ona na wielkiej estradzie przygotowanej dla niej, mając po prawej stronie księżnę de Touraine, po lewej zaś pannę de Nevers. Poza nimi stanęli książęta Ludwik de Touraine i Jan de Nebers, zamieniając od czasu do czasu słów parę z tą zimną grzecznością, do jakiej przywykli ludzie wysokiego stanowiska, zmuszeni ukrywać swoje myśli i uczucia. Gdy królowa zajęła swoje miejsce, inne damy rozsypały się szybko po wielkiej estradzie, która też zajaśniała pięknnością, bogactwem i rozmaitością strojów.

W tej chwili rycerze na arenie uporządkowali się w szereg, na którego czele stał król, za nim książę de Berri, książę Burgundzki, a za nimi dwudziestu sześciu innych według swego stanowiska i godności. Każdy, przechodząc pod estradą królowej, pochylał kopię swoją aż ku ziemi, a królowa każdemu z osobna oddawała uprzejmy ukłon.

Po skończeniu tej defilady, rycerze podzielili się na dwa oddziały; nad jednym objął dowództwo król, na drugim wielki marszałek. Karol poprowadził swój oddział pod estradę królowej. Clisson ze swoimi oddalił się na drugi koniec szranków.

– Czy nie brała też waszą książęcą mość ochota – zapytał wtedy książę de Nevers księcia de Touraine – wmieszać się pomiędzy tych szlachetnych rycerzy i skruszyć kopię na cześć księżnej Walentyny?

– Snadź nie wiesz, mój kuzynie – odparł sucho Ludwik – że król, brat mój pozwolił, abym w jutrzejszym turnieju walczył jeden przeciw każdemu, kto tego zapragnie. I walczyć będę nie w masie, ale w pojedynkę. Sam przeciw wszystkim walczyć będę za piękność i honor mojej damy – powtórzył raz jeszcze z naciskiem.

– I mógłbyś księżę dodać, że tak pierwsza jak i drugi mogłyby być bronione nie tymi dziecinnymi zabawkami, jakich zwykle się używa w podobnych walkach.

– Toteż gotów jestem, mój kuzynie, bronić honoru i piękności mojej pani taką bronią, jaką ktokolwiek atakować je zechce. U wrót mego namiotu będą dwie tarcze: pokoju i wojny; ci, którzy uderzą w pierwszą, uczynią mi zaszczyt; ci, których druga ku sobie pociągnie, zrobią mi przyjemność!

Księżę de Nevers skłonił się, jak człowiek, który dowiedziawszy się wszystkiego, co chciał wiedzieć, pragnie na tym zakończyć rozmowę. Księżę de Touraine ze swej strony zdawał się nie rozumieć celu tych wszystkich pytań i począł niedbale bawić się jedną z koronkowych szarf, spadających z czepca królowej.

IV

W tej chwili trąby zagrzmiały. Rycerze, którym ten znak obwieszczał, że walka rozpocznie się niebawem, poprawili swe tarcze, popróbowali strzemion, oparli lance o siodła, tak że każdy był gotów, gdy ostatnie tony fanfar przebrzmiały i po obu stronach szranków rozległ się okrzyk sędziów turnieju:

– Zaczynajcie!

Zaledwie wyraz ten wyrzeczony został, ziemia znikła pod tumanami kurzu, pośród którego niepodobna było śledzić przebieg walki. Zaraz też prawie usłyszano chrzęst zbroi dwóch ścierających się szeregów. Szranki ukazały się oczom widzów, jak wzburzenie morze pełne fal złota i stali. Od czasu do czasu na szczycie jednej lub drugiej z fal owych, jak gdyby piana morska, zabielał pióropusz u hełmu, ale wszystkie prawie wysiłki i czyny wojenne tego pierwszego spotkania były dla widzów stracone. Dopiero, gdy trąby obwieściły wypoczynek i kiedy oddziały wróciły do swoich punktów wyjścia – ocenić było można, na którą stronę przechylała się szala zwycięstwa.

Ośmiu rycerzy w pełnych zbrojach i w siodłach otaczało jeszcze króla, a między nimi i Piotr de Craon.

Król Karol wprawdzie zabronić chciał turnieju temu ostatniemu, a to z tych wszystkich przyczyn, jakie w rozmowie z bratem swoim wyluszczył; że jednak ustąpienie jego mogłoby cały turniej popsuć, gdyż do zabawy potrzebna była parzysta liczba rycerzy – myśli owej zaniechał.

Z drugiej strony tylko sześciu rycerzy otaczało wielkiego marszałka. Wszyscy inni albo wysadzeni zostali z siodła i nie mieli prawa powtórnie dosiadać rumaków, albo też cofając się przed przeciwnikami, dotknęli bariery i z tego powodu uznani zostali za pokonanych. Tak więc honor pierwszego starcia pozostał w zupełności przy królu i jego towarzyszach.

Paziowie i słudzy skorzystali z tej chwili wypoczynku, aby skropić ziemię. Każdy z rycerzy przywołał swego pazia lub koniuszego, polecił mu obejrzeć zbroję i rynsztunek, poprawić tarczę i każdy do nowego ataku się przygotowywał.

Wkrótce też trąby zagrzmiały po raz drugi, kopie wróciły do pozycji, a po wydaniu hasła oba oddziały, do połowy zmniejszone – natarły na siebie.

Oczy wszystkich zwrócone były na króla i marszałka Oliviera de Clisson, którzy pędzili naprzeciw siebie. Spotkali się w połowie pola. Król uderzył lancą w sam środek tarczy swego przeciwnika z taką siłą i gwałtownością, że lanca pękła na dwoje. Pomimo tak silnego ataku, stary żołnierz utrzymał się w strzemionach prosto i niewzruszenie; tylko koń jego nieco przypadł na tylne nogi, ale zerwał się za pierwszym dotknięciem ostrogi. Wielki marszałek zwrócił kopię, jakby do ataku na króla; przybywszy jednak tak blisko, że mógł go dotknąć, podniósł ją do góry, dając przez to do zrozumienia, że poczytuje sobie za zaszczyt potykać się z królem i panem swoim, ale że zarazem przez wielką cześć i szacunek nie śmie go dotknąć – nawet w turnieju.

– Marszałku – zawołał król, śmiejąc się – jeżeli nie władasz zręczniejszym mieczem swoim marszałkowskim, niż kopią rycerską, odbiorę ci ostrze, a zostawię tylko pochwę. Radzę waszmości od dziś stawać do turnieju z wicią zamiast kopii, jeżeli zawsze masz zamiar tak się nią posługiwać, jak obecnie.

– Najjaśniejszy panie – odparł Clisson – z wicią w rękę wyjdę przeciw nieprzyjaciołom waszej królewskiej mości i z pomocą Bożą pokonam ich, gdyż miłość i szacunek, jakie mam dla was, taką natchną mnie odwagą, jaką mi dziś dały pokorę w chwili ataku. Co zaś do sposobu, w jaki mam zamiar używać mojej kopii wobec każdego innego rycerza, racz wasza królewska mość osądzić własnymi oczyma.

W teże właśnie chwili pan Wilhelm de Namur, wysadziwszy z siodła pana Geofroy de Charny, powracał na stanowisko, szukając oczyma nowego przeciwnika, ale każdy był zajęty własną obroną. Z radością przeto usłyszał wyzwanie wielkiego marszałka:

– Przeciw mnie, panie de Namur, jeżeli wolno!

Wilhelm uchylił głowy na znak, iż przyjmuje wyzwanie, poprawił się w strzemionach, zebrał lejce i schyliwszy kopię, popędził naprzeciw wielkiego marszałka, który ze swej strony wypuścił konia tak, że w wielkim galopie spotkali się w połowie drogi. Pan de Namur celował kopią w hełm Clissona, a uderzenie było tak dobrze obliczone, że trafił go istotnie w wierzch przyłbicy i strącił mu hełm z głowy. W teże chwili kopia Oliviera ugodziła przeciwnika w piersi. Wilhelm de Namur zbyt dobrym był jeźdźcem, żeby mógł być wysadzonym z siodła, ale gwałtowność i siła uderzenia były tak wielkie, że pękły popręgi i jeździec wraz z siodłem upadł o dziesięć kroków od swego konia na ziemię.

Oklaski zagrzniały ze wszech stron. Damy powiewały szarfami. Było to w istocie jedno z najpiękniejszych uderzeń kopią w tym turnieju.

Clisson nie zatrzymał się nawet na tyle, aby zażądać innego hełmu, widział bowiem, że oddział jego, już od początku drugiego ataku mniej liczny, bronił się z trudnością. Rzucił się tedy w środek walki, złamał nadwerżoną atakami kopię na hełmie pana Jana de Harpedanne, któremu hełm ów strącił z głowy, a wydobywszy miecza, tak gwałtownie nań natarł, że zmusił go do dotknięcia bariery. Wtedy powrócił znowu na pole walki. Dwóch już tylko rycerzy walczyło przeciw sobie. Byli to Piotr de Craon i pan de Beaumanoir. Król zaś pozostawał już tylko spektatorem turnieju od chwili, gdy się spotkał z wielkim marszałkiem. Clisson poszedł za jego przykładem, oczekując rezultatu walki ostatniego ze swoich rycerzy z ostatnim ze swych przeciwników. Zdawało się, że szala zwycięstwa chyli się ku stronie pana de Beaumanoir, gdy wtem miecz jego złamał się na zbroi Craona. Ponieważ zaś regulamin nie pozwalał używać w tego rodzaju walkach innej broni, jak kopii i miecza, a pan de Beaumanoir swój oręż utracił, znalazł się więc ku wielkiemu swemu smutkowi w niemożności prowadzenia dalszej walki; dał przeto znak ręką, iż uznaje się za zwyciężonego. Pan Piotr de Craon odwrócił się przekonany, że już sam jeden tylko w szrankach zostaje, gdy spostrzegł o kilka kroków od siebie dawnego swego nieprzyjaciela, Clissona, który uśmiechał się doń z daleka. Między nimi tedy miało się zdecydować, komu przynależy palma zwycięstwa.

A ciężka to była sprawa. Piotr de Craon, chociaż waleczny rycerz i wielce w sztuce wojennej wyćwiczony, znał dobrze i wiedział, z jakiego żelaza ukuty jest człowiek, z którym walczyć mu przychodziło; jednak nie zawahał się ani na chwilę i rzucając koniowi na kark wodze, przechylił się tak, iż prawie leżał mu na grzbiecie, a ująwszy miecz w obie ręce, natarł na wielkiego marszałka. Nim dobiegł, widać było, jak miecz ten szybki i błyskawiczny dwukrotnie przewinął się w powietrzu; nareszcie z hukiem młota spadającego na kowadło, uderzył w tarczę, którą Clisson zasłonił odkrytą głowę. Gdyby miecz był ostry, tarcza Clissona, choć dość gruba i z dobrej a pięknej stali, byłaby zbyt słabą osłoną przeciw tak silnemu uderzeniu – ale w turniejach walczone bronią tępą. Wielki marszałek pod tym ciosem nie drgnął nawet – jakby był zaledwie dotknięty wicią wierzbową, trzymaną w wątlých rękach dziewczęcia.

Doświadczony ten wojownik zwrócił się przeciw Piotrowi de Craon, który – uniesiony przez rozpędzonego konia – odbiegł parę kroków, ale w porę zatrzymał się w obronnej pozycji. Tym razem wielki marszałek nacierał, a Craon się bronił. Atak był nader prosty. Clisson odtrącił broń swego przeciwnika i chwytając miecz w obie ręce, jakby nie życząc sobie użyć ostrza, płazem zadał tak silny cios w hełm Craona, że ten spłaszczył się, jakby od uderzenia maczugi. Rycerz rozpostarł ramiona, zachwiał się i padł zemdłony, nie wymówiwszy nawet jednego słowa.

Wówczas wielki marszałek podjechał ku miejscu, gdzie stał Karol, a zeskoczywszy z konia miecz swój rękojeścią podał, uznając się w ten sposób za zwyciężonego i ustępując królowi zaszczytu zwycięstwa w tym dniu. Król jednak, rozumiejąc, że czyn wielkiego marszałka jest czynem rycerskiej delikat-

ności, ucałował Clissona i poprowadził pośród grzmotu oklasków do stóp balkonu królowej, gdzie Izabella długo i gorąco mu dziękowała. Winszowali również jego wysokości książe de Touraine, który z przyjemnością patrzył na porażkę Piotra de Craon, i książe de Nevers, nie mający wprawdzie wiele przyjaźni dla marszałka, ale jako dobry rycerz zmuszony podziwiać jego dzielność i zęczność w turnieju.

W tejże chwili jakiś zbrojny oddział zatrzymał się u wrót kościoła Świętej Katarzyny. Ten, który wydawał się być dowódcą, zsiadł z konia i postąpił ku szrankom. Wszedł cały okryty kurzem, a idąc wprost ku królowi, przykląkł na jedno kolano i podał list, na którym widniała wielka pieczęć z herbem króla angielskiego. Karol otworzył kopertę. Zawierała ona pismo, w którym król Ryszard i jego wujowie zgadzali się na proponowane trzyletnie zupełne zawieszenie broni tak na lądzie, jak i na morzu, a to mianowicie od 1 sierpnia 1389 do 19 sierpnia 1392 roku. Król zaraz też głośno odczytał list, a wiadomość owa, której wszyscy wyczekiwali z niecierpliwością, zdawała się być nową i wyborną przepowiednią szczęścia, jakiego spodziewano się po panowaniu, zaczynającym się pod tak dobrymi wróżbami. Toteż pan de Chateau Moraud, który był naczelnikiem tego poselstwa, nader życzliwie był przez dwór cały przyjęty, a król, chcąc mu uczynić zaszczyt i okazać swoje zadowolenie, zaprosił go do swego stołu, nie dając mu nawet czasu na zmianę ubrania; tak, jak stał – musiał podążyć z orszakem królewskim.

Wieczorem tegoż dnia panowie Jan de Rivière i Jan Lemercier ze strony króla, zaś Jan de Benil i starosta de Touraine ze strony księcia, stawili się w pałacu pana Piotra de Craon, położonym w bliskości cmentarza Świętego Jana, i oświadczyli mu w imieniu swych władców, że ani jeden, ani drugi służb jego więcej nie potrzebują.

Nocy następnej, chociaż mocno był cierpiący i obolały od ciosu, jaki otrzymał, i od upadku z konia, Piotr de Craon opuścił Paryż z całą swą służbą i rycerskimi potrzebami; puścił się w drogę ku Anjou, gdzie posiadał wielki i silnie zbrojny zamek, zwany Sablé.

V

Nazajutrz o świcie heroldowie w barwach księcia de Touraine przebiegali ulice Paryża poprzedzani przez trębaczy i zatrzymując się na wszystkich placach i rozstajnych ulicach odczytywali listy wyzywające, które od miesiąca rozsyłane były na wszystkie strony królestwa, jak również do główniejszych miast Anglii, Włoch i Niemiec. Wyzwanie to wyrażone było następującymi słowy:

„My, Ludwik Walezjusz, książe de Touraine, z Bożej łaski syn i brat królów Francji, mając wielkie pragnienie zobaczyć i poznać szlachetnych panów i rycerzy lub koniuszych, bądź z królestwa Francji, bądź z innych królestw – czynimy wszem wobec i każdemu z osobna wiadomym, nie przez pychę, nienawiść lub złą wolę – ale przez chęć znajdowania się w szlachetnym ich towarzystwie – za zgodą króla, naszego brata, że gotowi będziemy w szrankach od godziny dziesiątej rano do trzeciej po południu stanąć do turnieju lub walki z każdym, kto tego zapragnie. Obok namiotu naszego będą przytwierdzone dwie tarcze z herbami naszymi, to jest po jednej stronie tarcza wojny, a po drugiej pokoju; ktokolwiek stanąć do walki zechce, przyśle swego koniuszego lub przybędzie sam dotknąć drzewcem swojej kopii naszą tarczę pokoju, jeśli pragnie potyczki w turnieju, lub też ostrzem jej naszą tarczę wojny, jeśli pragnie walki na ostre. Aby panowie szlachta, sławetni rycerze i koniuszowie, do których wiadomości wieść ta dojdzie, uważali ją za pewną i stałą, ogłosiliśmy i rozesłaliśmy te listy, opatrując je pieczęciami naszymi.

Napisano, uczyniono i dano w Paryżu, w naszym pałacu de Touraine, dwudziestego dnia miesiąca czerwca, roku 1389 od urodzenia Pana Naszego, Zbawiciela.”

Ogłoszenie turnieju, w którym miał przewodzić książe krwi, od miesiąca już wielki miało rozgłos. Ludzie, wzywani do rady królewskiej, próbowali oprzeć się temu, gdy książe de Touraine przybył prosić króla o pozwolenie na ten wyskok rycerskości z okazji wjazdu Izabelli; król, który sam lubił tego rodzaju zabawy i sam w nich celował, zavezwał swego brata i prosił go, aby zamiaru zaniechał, gdy zaś Ludwik oświadczył, że zobowiązanie do tego turnieju przyjął wobec dam dworu, król, znając całą ważność takiego kroku, zezwolił, aby projekt ten przyszedł do skutku.;

Zresztą niewielkie niebezpieczeństwo groziło stającym do podobnych walk. Prawie zawsze walczo- no bronią turniejową, a tarcza wojenna, zawieszona dla symetrii po jednej stronie namiotu, oznaczała tylko, że jej właściciel nie cofa się przed żadnym wyzwaniem. Zdarzało się jednak czasami, że nienawiść korzystając ze sposobności, wciskała się w szranki przyjacielskie i tam wybuchała nagle, zamiast turnieju żądając walki na ostre. Dlatego też na wszelki wypadek w namiocie znajdowały się ostre miecze i koń w zbroi i rynsztunku wojennym.

Księżna Walentyna, jakkolwiek dzieliła zapał rycerski swej epoki, nie była jednak wyzbyta obawy o rezultat dnia tego. Stawiany przez doradców króla opór uważała za bardzo słuszny i przed tym, czego inni obawiali się przez rozum, ona drżała przeczcuciem serca. Zatopiona w rozmyślaniach, siedziała wła- śnie smutna w swoim pokoju, gdy służący przyszedł jej powiedzieć, że ta sama panienska, po którą przedwczoraj posyłała, czeka obecnie w przedpokojach i prosi o pozwolenie widzenia. Księżna de Touraine postąpiła sama kilka kroków ku drzwiom. Odetta weszła.

Była, piękna – jak zawsze, pełna wdzięku i niewinności, ale w całej jej postaci, tchnącej łagodno- ścią i słodyczą, przebiegał się głęboki smutek.

– Cóż się stało? – zapytała księżna, przerażona jej bledością – i czemuż winnam to szczęście, że cię widzę?

– Byłaś pani dla mnie taka dobra – odparła Odetta – że nie chciałam, aby pomiędzy mną i światem zamknęła się krata klasztorna bez pożegnania się z waszą łaskawością.

– Jak to? Biedne dziecię – zawołała z rozrzewnieniem księżna – więc zostajesz zakonnice?

– Jeszcze nie, pani, ojciec wymógł na mnie przyrzeczenie, że nie wykonam ślubów, dopóki on żyje; a ja znów tak długo płakałam na jego łonie, tak długo u stóp jego prosiłam, aż pozwolił mi usnąć się i zamieszkać tymczasowo w klasztorze Świętej Trójcy, którego moja ciotka jest przełożoną.

Księżna wzięła ją za rękę.

– Ale to pewno jeszcze nie wszystko, co mi powiedzieć miałaś, nieprawdaż? – zapytała, bowiem w oczach młodej dziewczyny zdawała się czytać myśl jakąś niedopowiedzianą.

– Tak, to jeszcze nie wszystko! Chciałam mówić...

– O kim?

– O kim bym innym mówić chciała i mogła, księżno miłościwa, jak nie o nim?... O kogóż miałabym się troszczyć i obawiać, jak nie o niego?

– Czegoż się obawiasz?

– Pani mi przebacysz, że do ciebie mówić będę o księciu de Touraine, gdy dowiesz się, że niebez- pieczeństwo...

– Niebezpieczeństwo?! – wykrzyknęła Walentyna. – Cóż mu grozi?!... Mów, wytłumacz się, umie- ram z przerażenia!...

– Mówiłam już księżnej pani, że ojciec mój handluje końmi i że mówią o nim, iż najlepsze w całym Paryżu miewa rumaki... Otóż wczoraj przyszli do niego ludzie jacyś i zażądali najsilniejszego i najwy- trzymalszego konia do walki. Ojciec mój spytał ich, czy to na turniej dzisiejszy potrzebują tego konia. Odpowiedzieli mu, że tak i że jakiś rycerz obcy ma na tym koniu wystąpić. Wtedy zapytał ich: „A więc będzie i walka na ostre?” – „Będzie – odpowiedzieli mu – i jaka jeszcze!...” Usłyszawszy to, drżąc z obawy, śledzić ich poczęłam. Zeszłam do stajen i widziałam, jak wybrali najsilniejszego ze wszystkich konia i jak nań przymierzali rynsztunek bojowy.

Odetta zalała się łzami.

– Czy rozumiesz mnie, pani?... O, powiedz to jemu! Powiedz pani księciu, co mu grozi i co przeciw niemu knują, powiedz mu, niech się broni całą siłą i całą zręcznością...

Upadła na kolana.

– Niech się broni i niech żyje dla ciebie, pani, która jesteś tak piękna i która go tak kochasz! O! po- powiedz mu to tak, jak ja tobie to mówię, na kolanach, z rękoma złożonymi jak do modlitwy! Powiedz mu to tak, jakbym ja powiedziała, gdybym była tobą, pani!

– Dziękuję ci, dziecię drogie, z serca dziękuję!

– Rozkaż pani jego koniuszemu, aby mu wybrał najmocniejszą zbroję! Gdy jeździł po ciebie do Włoch, musiał przecie przywieźć sobie kilka zbroi z Mediolanu, gdzie, jak słyszałam, wyrabiają najlep- sze na świecie... Powiedz mu, pani ażeby opatrzył dobrze hełm pana swego. A potem, jeżeli zobaczysz, co jest niemożliwe, bo książe de Touraine jest najpiękniejszym, najodważniejszym i najzręczniejszym rycerzem w królestwie Francji... ale gdyby... gdybyś zobaczyła, że słabnie... boć przecie przeciwnik jego,

nieznajomy, czarów jakich użyć może... więc gdybyś, księżno, zobaczyła coś podobnego, proś króla, wszakże król tam będzie – nieprawdaż? Więc proś króla, pani miłościwa, aby rozkazał zaprzestać walki. On ma prawo, on może – mój ojciec mi to powiedział! Sędziowie turnieju powinny tylko rzucić buławy swoje, oznaki swej godności między walczących i walka ustać musi... Proś więc króla, niech każe tak uczynić, niech przerwie walkę tę, jeżeli już jej przeszkodzić nie można! A ja tymczasem...

Zatrzymała się.

– A ty cóż zrobisz? – zapytała zimniej nieco księżna.

– Ja... zamknę się w kaplicy klasztornej. Teraz, gdy życie moje należy do Boga, obowiązkiem moim jest modlić się za wszystkich ludzi, a w szczególności za władcę i pana, króla naszego, braci jego i synów. Więc modlić się będę za nim do Pana, czoło oparłszy o marmur podłogi kościelnej. Powiem Bogu, aby w zamian za jego, moje wziął życie, gdyż moje życie na nic już nikomu nieprzydatne. I Bóg mnie wysłucha, może zlituje się nade mną... Ty, pani, – módl się też ze swej strony. Bóg pewno łatwiej, usłuszy twój słodki głos. Boś ty jest możną córą tej ziemi, a ja tylko biedną dziewczyną. Żegnam cię, żegnam pani miłościwa.

Po tych słowach Odetta podniosła się, ucałowała po raz ostatni rękę księżnej i wybiegła z pokoju.

Księżna de Touraine natychmiast też przeszła do apartamentów swego męża, ale już od godziny był on w swoim namiocie na polu walki, gdzie udał się wcześniej w celu obejrzenia swoich zbroi i stosownego przybrania się.

W tejsze chwili przyszedł posłaniec, zawiadamiający księżnę, że królowa oczekuje jej, aby się z nią udać na pole Świętej Katarzyny.

Szranki przygotowane były w tym samym miejscu co dnia poprzedniego, tylko wewnątrz ich obwodu, pod balkonem króla, rozbity był namiot dla księcia de Touraine, ponad którym widać było jego herbową tarczę. Namiot ten łączył się z wielką izbą zbitą z desek, w której mieścili się koniuszowie i konie. Tych ostatnich było cztery. Trzy przeznaczone do turniejów, czwarty do walki na ostre.

Z lewej strony namiotu wisiała tarcza wojny bez żadnych herbów, a tylko z wizerunkiem kija sęka-tego, z napisem: „wyzywam”.

Z prawej strony namiotu znajdowała się tarcza pokoju, na której widniał w błękitnym polu herb „dzieci Francji” – trzy lilie złote.

Naprzeciw, na drugim końcu szranków znajdowała się wielka brama, wychodząca na pole przyległe do Tournelles. Tędy wchodzić mieli rycerze.

Jak tylko król, królowa, panowie i damy zajęli swoje miejsca, ukazał się herold, poprzedzony przez dwóch trębaczy, i odczytał wielkim głosem listy wyzywające, które już daliśmy poznać naszym czytelnikom na początku tego rozdziału. Sędziowie dodali tylko jeden warunek, a mianowicie: że każdy rycerz lub koniuszy, który by dotknął tarczy pokoju, zobowiązuje się przez to samo nie kruszyć więcej, niż dwie kopie; tym zaś, którzy dotkną tarczy wojennej, według zwyczaju, pozostawiony został wybór broni i jej ilość.

Po odczytaniu tej proklamacji herold powrócił do namiotu. Sędziowie, którymi na ten dzień byli pan Olivier de Clisson i książę de Burbon, zajęli swe miejsca po dwu stronach szranków, a trąby za-grzmiały fanfarę wyzwania.

Księżna Walentyna była blada jak śmierć.

Przez chwilę panowało milczenie, które wkrótce przerwał odgłos trąb innych, poza obrębem szranków powtarzając te same dźwięki. Brama w głębi otwarła się i wjechał przez nią na koniu rycerz z podniesioną przyłbicą, a był nim pan Boucicaut młodszy.

Księżna, poznawszy go, odetchnęła swobodniej.

Gdy go tylko spostrzeżono, szmer życzliwych mu osób dał się słyszeć na wszystkich galeriach. Panowie przesyłali mu ukłony ręką, damy powiewały chustkami, gdyż pan Boucicaut młodszy był jednym z najodważniejszych i najrzęczniejszych rycerzy owej epoki.

Pan Boucicaut pokłonił się naprzód widzom dla podziękowania im za prawdziwie godne zazdrości przyjęcie, jakie go spotkało, następnie posuwając się wprost do balkonu królowej, skłonił się jej głęboko, spuszczać ostrze kopii ku ziemi, potem opuszczając ręką lewą przyłbicę hełmu, dotknął drzewcem swej kopii tarczy pokoju księcia de Touraine, a puszczając wodze koniowi, całym pędem powrócił na przeciwny koniec szranków.

W tejsze chwili książę wyjechał z namiotu cały już do turnieju przybrany i uzbrojony. Miał na sobie zbroję mediolańską z najdelikatniejszej stali, całą inkrustowaną złotem. Czaprak jego konia był z aksa-